



Romana Kasprzak z domu Becela

Urodziłam się w Tarnopolu 20 października 1924 r. Mój ojciec był podoficerem zawodowym i wtenczas służył w 54 pułku kresowym. Potem rodzice zaraz wyjechali i ojciec już do wybuchu wojny był w kwatermistrzostwie w pułkach podhalańskich. Ostatnio właśnie w Samborze, gdzie mieszkaliśmy 12 lat. Mama Janina urodzona jest w Drohobyczu, ojciec, Marcin Becela tu, w poznańskim. Na początku wojny ojciec przeszedł granicę węgierską ze swoim 54 pułkiem strzelców podhalańskich. Później cały czas był na bliskim wschodzie, brał udział w bitwie pod Monte Casino, pod Tobrukiem, w końcu był we Włoszech, potem w Anglii. Z Anglii przyjechał do kraju w 1947 roku.

1 września był przepiękny, cudny dzień. Ja przygotowywałam się do pensjonatu - chodziłam do pensjonatu Paniien Benedyktynek w Przemyślu. W domu była już atmosfera wojenna. Wszyscy wiedzieliśmy, że coś się dzieje. Ojciec z góry powiedział, że nie pojedę, ale ja nie wierzyłam, że coś może mi przeszkodzić w wyjeździe. Jak dziś pamiętam nalot, pierwsze bomby. Byliśmy pewni, że to nasze samoloty, nawet przez myśl nam nie przeszło, że to samoloty niemieckie. Ojciec cały czas krążył po mieście. Przejechał do nas raz i drugi i powiedział, że zbombardowali wszystko, co było na stacji. Wtenczas rzeczywiście przejęliśmy się bardzo. Wojsko wyszło z koszar, zegnaliśmy ich. My też uciekaliśmy, do pobliskiej wioski. Ojciec powiedział, że przyśle po nas wozy. Miałyśmy wyjechać zanim wojsko wyjdzie. Prosił żebyśmy wszystko zostawili i szli za wojskiem. Ojciec ze swoim pułkiem wyszedł pierwszy. Do nas przyjechał żołnierz z wozem. Co mieliśmy pod ręką, załadowaliśmy i ruszyliśmy za wojskiem ale wojsko już było daleko.

Jechaliśmy takimi wojskowymi pojazdami. konnymi bryczkami.

Szliśmy w kierunku granicy węgierskiej, drogą, którą cofało się nasze wojsko. Więcej rodzin jechało, nie tylko my. Dojechaliśmy już bardzo daleko, ale jak zobaczyliśmy tę okropną rzeź... Wszędzie tam były wioski ukraińskie. Ukraińcy palili polskie domostwa. Były to rozrachunki ukraińsko-polskie. Okropne. W jednej wiosce widzieliśmy, jak małe polskie dzieci wyciągali z domu i rozbijali o słupy telegraficzne. Widziałam to, będąc dzieckiem, na własne oczy. Wszystko płonąło. Ukraińcy palili całe wsie polskie, a najważniejsze, że palili mosty, i nie mogliśmy się przez te mosty przedostać. Wystraszeni takimi ekscesami, wróciliśmy do domu.

Podróż też była bardzo trudna, bo oni po prostu napadali na te samochody, na te wozy wypełnione ludźmi. Udało nam się dotrzeć do wioski, niedaleko Sambora, Ucherce się nazywała, stamtąd pochodziła gosposia, która nam mleko przynosiła. Tam przemocowaliśmy, każdy gdzieś po jakichś gospodarzach się pochował, i potem wróciliśmy do domu. W domu zastaliśmy Ukraińców. Dobrze sobie w naszym domu popili, bo było w domu wino, w piwnicach. Byli na pół pijani, gdy wróciliśmy. Ale my wracaliśmy z naszym psem, który ich rozpędził.

Długo nie trwało, pokazały się pierwsze oddziały niemieckie. Ale nim przyjechali Niemcy, był taki okres "bezpański". Wtedy byli Ukraińcy, byli Żydzi. To było okropne. Ukraińcy po prostu "urzędowali" w mieście z tymi czerwonymi kokardami, poprzycepiali sobie. Chcieli samostojatelnoej Ukrainy.

Po prostu przejęli władzę, przejęli urzędy. To było krótko, tak że nie zdążyli się zagospodarzyć, nie mniej odkuli się na Polakach. Nie wiem, właściwie Ukraińcom było u nas zawsze dobrze. Dlaczego oni byli tak strasznie zacięci, może dlatego, że chcieli sobie Ukrainę stworzyć, nie wiem. W każdym razie

to były okropne dni. Tak jak ludzie opowiadali, były to dni rzezi i okropnej paniki. Nie było nawet gdzie uciekać. Oni byli wszędzie. Byli uzbrojeni. Skąd mieli broń, nie wiem. Zresztą broni wszędzie było dużo, bo jak wojska się cofały, to zostawiali broń.

Żydzi mieli przypięte czerwone goździki, kokardki tak różnie manifestowali chyba przynależność do partii socjalistycznej. Ja się tym zresztą nie interesowałam, byłam strasznie za Piłsudskim. Tak, że mnie partia komunistyczna nie nie obchodziła, choć jak byłam dzieckiem, to widziałam pochody 1 maja. Ale właściwie specjalnie się tym nie przejmowałam. Zresztą byliśmy w szkole przepełnieni duchem patriotycznym i w domu tak samo. Mama zawsze opowiadała o zaborach. Była pod zaborem austriackim, na który znowu tak bardzo nie narzekała. Ojciec przyszedł z Hallem, był haleczykiem. Opowiadał o czysach niemieckich, oni tyle swobody nie mieli co pod zaborem austriackim. Mama była w domu, wychodząc za mąż pracowała w biurze wojskowym, ale jak wyszła za mąż - przestała pracować.

Przyszły pierwsze patrole niemieckie i od razu przyszli do nas i zaraz zrobili rewizję. Szukali od góry do dołu, kazali oddać broń, której myśny nie mieli. Wiem, że mama gdzieś tam szablę ojca schowała, ale kazali to i radio poddawać. Może dlatego, że zajmowaliśmy cały parter willi, zajęli zaraz trzy pokoje na jakieś biuro czy sztab, a nam kazali się ulokować w kuchni i małym pokoju. Ale muszę powiedzieć, że wtedy jeszcze się względnie kulturalnie zachowywali, jeszcze jako tako, tylko my byliśmy w takim strachu niesamowitym. Najgorsze były te obwieszczenia co można, czego nie można: kara śmierci za to, kara śmierci za tamto.

Długo nie trwało, jakiś tydzień i zaczęły chodzić słuchy,

że Niemcy cofają się z Samboraż są pod Lwowem, ale cofają się przed ZSRR. Niemcy się cofnęli, Rusczy jeszcze nie przyszli i znowu zaczęli panować Ukraińcy. Zaczęła się po prostu rzeź. Okromne noce. Napadali. My osobiście nie mieliśmy z nimi nic, ale wiem, że na naszych dookoła, których znaleźliśmy, też wojskowych, rabowali, napadali, bili w okropny sposób. W pobliżu w blokach wojskowych mieszkała rodzina Oleśiaków. Ona do nas przyleciała, bo Ukraińcy ograbili ich niesamowicie, przyleciała z dziewczynką /on był podchorążym/ i opowiadała, co się tam dzieje. Właściwie na te bloki Ukraińcy napadali. Trzy dni trwały te rzezie. Trzy dni niepewności, panowania Ukraińców, okres bezwładny.

Potem pokazały się pierwsze patrole rosyjskie. Byliśmy w okropnym stanie. Po raz pierwszy widziałam różne narodowości - i Kazacy, i Kirgizi, narody wschodnich terenów. Bardziej od Ukraińców i Niemców baliśmy się Rosjan. Słyszeliśmy, co oni robili tam, gdzie był opór polskich wojsk. Bardzo baliśmy się Rosjan. Różne głosy chodziły i właściwie się potwierdziły. Baliśmy się ich dlatego, że tak się zachowywali. Gdy szli, niszczyli wszystko, jak dzicz. Bardzo też dużo w tej armii radzieckiej było Azjatów, to też, w pewnym sensie, powodowało większy strach. Wszystko co po drodze - niszczyli. Taki to naród był, jakaś taka fama u nich była, że co kapitalistyczne to należy zniszczyć. Niszczył Niemiec, niszczyli oni. Niemcy muszę powiedzieć niszczyli nie tyle prywatne domy, ile polskie instytucje. Był tam klub oficerski i kasyno oficerskie - jak tam dorwali się to niszczyli wszystkie polskie książki, wszystko co tam było wyrzucili przez okna. Ludzie rozbierali to wszystko, a oni nic na to nie mówili. Z początku baliśmy się, ale w końcu dopadaliśmy do tych stosów i ja do dzisiaj mam jedną książkę,

kuzynka mi dała, właśnie z tego kasyna. Ale Niemcy nie dewastowali, a ci jak wchodzili to niszczyli, łamali, szyby wybijali. Nie czekali, aż się drzwi otworzy, tylko wywalali karabinami i jeden drugiemu przekazywał ten strach przed nimi.

Chciałam teraz wrócić do Żydów, którzy właściwie nas wywieźli na Sybir, bo oni zrobili listy wszystkich wojskowych. Pierwszy przyszedł zameldował się Żyd, który przed wojną robił buty oficerskie mojemu ojcu /ojciec miał bardzo szczupłe nogi i nieraz musiał mu dwie pary robić, bo nie utrafił/. Przyszedł więc ten Żyd i powiedział: - "Już więcej ja panu oficerowi butów robić nie będę, ale że tyle razy robiłem, to wynagrodzenie specjalne za to dostanę." Tak nam powiedział. Nie przywiązywaliśmy do tego absolutnie wagi.

Rosjanie przyjechali i zaraz u nas zrobili rewizję. Zaskoczyło nas to, że przyjechali i o wszystkim wiedzieli. Byliśmy pewni, że to była robota Żydów, bo zaraz po rewizji pokazał się znowu ten Żyd. Wiedzieliśmy już, że to jest ich robota. Rosjanie powiedzieli nam, że mamy opuścić mieszkanie. Nie mieliśmy gdzie się podziać. To powiedzieli, że oni coś dla nas znajdą, ale musimy jednak stąd pójść. Mama powiedziała, że w takim razie do Drohobycza, bo ma w Drohobyczu matkę i dom. Całą rodzinę mieliśmy we Lwowie, mama pochodziła ze Lwowa. Babcia przed wojną wybudowała sobie dom w Drohobyczu i tam teraz mieszkała. Wzięliśmy, co się dało, co zdążyliśmy wziąć, podstawili nam takie duże samochody. Załadowaliśmy wszystko i z tych samochodów nas na dworcu wyładowali. Pojechaliśmy do Drohobycza. Był już listopad.

Daty wejścia Rosjan nie pamiętam, kiedy Niemcy nas opuszczali, to chodziły słuchy, że wejdą Rosjanie. Gofajecy się z granicy węgierskiej oficerowie, podoficerowie, którzy nie przeszli granicy i wracali do domu, wiedzieli już, że Rosjanie byli już

w Tarnopolu. 17 września Rosjanie przeszli granicę do Tarnopola, ale do nas przyszli znacznie później, 17 września u nas byli jeszcze Niemcy. Nie wiem ile to trwało, chyba jakiś tydzień, do dziesięciu dni. Więcej na pewno nie. Rosjanie zrobili na nas wrażenie okropne. Zaczęli od razu tą swoją propagandę, że rząd nas opuścił, takie odezwy, że to wszystko było kapitalistyczne, że zdrajcy... Od razu byliśmy do nich negatywnie ustosunkowani, ale co mogliśmy zrobić.

Zaraz w pierwszych dniach widzieliśmy stale pełne, wyładowane wozy oficerów, żołnierzy, podoficerów, których Rosjanie wzięli do więzień. Więzienie było bardzo duże. My wszyscy, nie wiedząc o tym, co dzieje się z naszymi ojcami, lataliśmy tam patrzeć, czy tam przypadkowo nie przywieźli naszych. W tym czasie spotkaliśmy kilku znajomych, pytaliśmy się o naszych ojców, moja kuzynka i ja. Mówili, że przekroczyli granicę. Byliśmy więc spokojni, że nie wpadną w ręce ani jednym, ani drugim.

W Drohobyczu było ciasno, ale zmieściliśmy się. Mieszkała tam moja babcia ze swoją córką, jej syn z żoną i jeszcze my do tego dojechaliśmy - ja, mama i brat. Brat jest o dziewięć lat ode mnie młodszy. Ma na imię Ireneusz.

Nie wiedzieliśmy absolutnie, że będą wywozić, to było takie zaskoczenie. A przecież jednej nocy, bo w nocy nas zabrali, tysiące ludzi potrafili wywieźć. Tak zorganizować wszystko. Przychodzili z gotowymi listami z nazwiskami i ze wszystkimi danymi. To zasługa tych Żydów, bo oni tak się kręcili z tymi czerwonymi Ruskami. widzieliśmy przecież, że trzymają taką sztamę. Z góry wiedzieliśmy, że jest to robota żydowska.

Przez te pół roku, kiedy byliśmy w Drohobyczu Rosjanie otworzyli szkoły. Językiem wykładowym był polski i rosyjski. Zaraz zrobili dziesięciolatki, nie było tak jak u nas najpierw gimnazjum i potem liceum. Potwierzali też szkoły podstawowe. Tam też językiem wykładowym był polski i rosyjski. Rosyjskiego się

dopiero uczyliśmy. Może o tyle ta nauka była łatwiejsza bo jeszcze w szkole powszechnej uczyliśmy się języka ukraińskiego, po kilka lekcji w ciągu tygodnia. Tak że znaleźliśmy cyrylicę i przeczytać po rosyjsku człowiek przeczytał i częściowo rozumiał.

Ja tutaj do szkoły nie chodziłam, bo jak nas wyrzucili z Sambora, nie wiadomo było, co ze sobą robić. W Drohobyczu było tak ciasno, że mama myślała, że może wrócimy do Sambora albo wyjedziemy do Lwowa.

O powstaniu konspiracji w tym czasie nie słyszałam. Jeśli chodzi o mnie, to wtedy nic nie wiedziałam, może dlatego że byłam młoda, miałam 16 lat. Tyle tylko, że cały czas byliśmy wszyscy zajęci jeńcami, których stale wozili w samochodach oficerów. Szukaliśmy znajomych wojskowych, całe więzienie było załadowane. Nosiliśmy do tych więzień jedzenie. O pobycie znajomych w więzieniach dowiadaliśmy się tylko przypadkowo i wtedy przekazywaliśmy znajomym wiadomości. To było jedno środowisko. Tych, których ja szukałam nie znaleźliśmy. Wtedy kiedy nas wywozili w Samborze, aresztowali mojego wujka, mamusi szwagra. W tym więzieniu była ich straszna masa. Mówiły o tym ciotka i kuzynka.

Rosjanie pozwalali podawać paczki do więzienia, ale czy dochodziły, nie wiem. I tylko żywność, nic z odzieży nie wolno było dawać. Wszystko przeglądali naturalnie i paczki brali, ale czy oddawali więźniom, nie wiem. Oczywiście nosiliśmy to jedzenie. Wszystko jedno dla kogo, żeby tylko dać. Były wyznaczone dni i godziny na podawanie paczek. A robiliśmy tak: jak się dowiedzieliśmy, że któryś ze znajomych, koleżanki ojciec tam się znalazł, to powoływaliśmy się na to nazwisko i dawaliśmy paczki, a oni mieli się dzielić. Wiedzieli o tym. Nieraz jakiś mały grypsik się do chleba wcisnęło. Ale nie mieliśmy ani jed-

nego potwierdzenia, że te paczki docierały.

Potem, jak już wróciłam do Polski i spotkałam się z tymi z Sambora, to opowiadali, że jak wybuchła wojna bolszewicko-niemiecka, to w tych więzieniach trup koło trupa leżał. Oni szukali swoich. Wtenszas te więzienia były otwarte. Okropnie to wyglądało. Rosjanie wychodząc zmasakrowali wszystkich, ledwo który może uciekł. Te trupy leżały, następował rozkład ciał i Niemcy nie chowali. To było okropne. Tak opowiadały te, które były w Samborze. Nas już tam nie było.

Wiadomości z zachodu nie mieliśmy. O rządzie wiedzieliśmy tyle, że przeszedł granicę. To wszystko. Nie było dosłownie żadnej nadziei. Dlatego, że cofnęli się Niemcy i przyszli Rosjanie. Nadziei nie było żadnej. A potem jeszcze ten wywóz. O wywozach na Sybir słyszeliśmy już w styczniu 1940 roku. Więc już wtedy obawialiśmy się tego, wiadomo - rodziny wojskowe, urzędnicy. A przecież już z historii wiedzieliśmy, że Rosjanie wywozili Polaków na Sybir. Cały czas o Sybirze się mówiło, aby tylko nas nie wywieźli. I wypowiedzieliśmy w złą godzinę.

Przed naszym wywiezieniem chodziły słuchy, że była duża wywózka, ale nikt nie wiedział, czy to było jednorazowe. Brali wtedy leśniczych, bardziej zamożnych gospodarzy.

Mimo że wyjechaliśmy z Sambora do Drohobycza, to znaleźli nas. A że nas znaleźli, to wszyscy poszli - i babcia i ciotka i syn babci, wszyscy.

Mama miała szwagra, podoficera, płatnika 56 pułku podhalańskiego, Oleksiu. Nie przeszedł granicy i cofnął się do Sambora. Siostra memusi dała znać do Drohobycza, że go aresztowali. Mama więc tam pojechała, przecież to parę kilometrów między Drohobyczem i Samborem. Pojechała rano, a w nocy zabrali nas bez mamy.

Jak to wyglądało. Godzina w pół do pierwszej, niesamowity rumor do drzwi. Babcia otworzyła, weszło siedmiu żołnierzy,

z karabinami, na głowach mieli te charakterystyczne czapki z takim szpicem. Kazali nam się ubrać. Zrobili rewizję. Zachowali się jak dzicz mongolska. Wszystko na ziemię rzucali, maski przeciwgazowe z takimi pochłaniaczami kompletnie rozrywali, pozdzierali wszystkie naszywki ojca z mundurów. Mnie i bratu kazali się ubrać. Ubrałam brata i siebie. Stałam z bratem w drzwiach. Jeden z nich był trochę ludzki i powiedział, że możemy zabrać ze sobą 20 kg, co to jest, nie wiedziałam, ile to jest 20 kg. I tak stoję. Przyłocili znajomi mojego kuzyna /też oficera, który gdzieś zaginął/, i jeden z nich mówi do mnie - słuchaj, bierz wszystko, bierz co widzisz. Ja nadal nie wiedziałam, ale oni wzięli jakieś koce, zaczęli wrzucać, co widzieli, zawinęli i podali przez okno. Tam już stał samochód pełen ludzi. Enkawudziści kazali mojej babci ubrać się. Oni nie byli na liście, ale im też kazali iść. Każdy więc wziął ze sobą tobolek i wyszli. Mówiono nam, że tylko za Drohobycz jedziemy. To wszystko działo się 15 kwietnia 1940 roku.

Zabrano nas z Drohobycza i ciężarówkami zawieziono do Lwowa. Tam czekały już przygotowane transporty, załadowali nas. Jak zamknęli drzwi, tak otworzyli w Kijowie.

Mama wtedy była w Samborze. Myślała, że jak się zgłosi, to ją do nas dokooptują. Ale oni ją aresztowali i siedziała w Samborze w więzieniu. Siedziała od kwietnia do czerwca. Pozwolili jej przedtem przyjechać do Drohobycza i zabrać jakieś rzeczy. W czerwcu wyjechała stamtąd transportem do Aktiubińska do łagru i w tym łagrze pracowała. Zostali zamknięci, stale pracowali. My połączyliśmy się z mamą w 1941 roku w sierpniu. Rosjanie otworzyli wtedy łagry, bo tworzyła się polska armia. Ja zgłosiłam się do Kujbyszewa, że jesteśmy sierotami, mama też się zgłaszała i w ten sposób dowiedzieliśmy się, gdzie ona jest

i mama do nas przyjechała.

Gdy byliśmy we Lwowie, masa młodzieży chodziła po dachach wagonów i chcieli podać jakąś żywność - chleb, bułki, nawet przyszli ludzie z garnkami zupy, chcieli podać. Staliśmy parę dni we Lwowie, zaraz nie pojechaliśmy, ale oni nie pozwolili. We Lwowie pozwolili nam wziąć wiadra i iść po wodę. Ja wyszłam z bratem, wszędzie go braliśmy, bo był na moim dowódzie. Wzięłam ze sobą wiadro, Trzeba było przejść kawałek ulicy i skręcić w prawo i tam była studnia. Strażnik do mnie mówi: - "Tu na zakręcie uciekaj." Ale ja mu nie wierzyłam, bałam się że za mną strzela. Nie odważyłam się na to, nie wiedziałam, jaka będzie jego reakcja. Nabrałam wody i wróciłam na stację do transportu. Przyszłam i mówię, a oni, to trzeba było uciekać, No tak, trzeba było uciekać, ale nie wiadomo było, co on miał na myśli. Może rzeczywiście był człowiekiem, może rzeczywiście zachował by się jak człowiek, ale czy ja wiem? Jeszcze gdybym była sama, ale z bratem bałam się ryzykować.

Ze Lwowa do Kijowa jechaliśmy 3 tygodnie. Więcej staliśmy, jak jechaliśmy. W każdym bydzącym wagonie było 60 osób. Przez cały czas wagonów nie otwierano. Strażnik odsuwał drzwi, żeby ktoś wyszedł z wiadrem po wodę. W podłodze wagonu wybita była deska i to służyło za ubikację. Na środku stał taki cyganek do ogrzewania i do gotowania. Do Kijowa nie dawali żadnego prowiantu, nic. Dopiero za Kijowem, na przedmieściach za Kijowem otwarli nam wagony i mogliśmy wyjść. Wtedy szukaliśmy, kto ze znajomych jest z nami. I tak odnalazłam całą rodzinę Kaweckich. Gdy nas wywozili, już wiedziałam, że muszą z nami być. On miał syna oficera, a był bardzo dobrze sytuowanym bogatym człowiekiem. Mój wujek, zesłaniec jeszcze z I wojny, zesłany teraz po raz drugi powiedział nam, że jak gusieś dojedziemy i będą

nas rozdzielać to trzeba się pilnować, żebyśmy wszyscy razem byli.

Transport był bardzo duży, mniej więcej 120 wagonów, strasznie duży, ogromny. Takie długie transporty jechały jeden za drugim.

Na tej długiej trasie dostawialiśmy wodę. Pilnowała nas straż. Oni otwierali drzwi. Np. jak u nas w transporcie zmarło dziecko, oni otworzyli drzwi, wyrzucili dziecko przez okno i znów drzwi zamknęli. Nawet w czasie jazdy odsunął drzwi, wyrzucił dziecko i zamknął z powrotem.

To dziecko ciągle płakało. Co mu było, nie wiem. Zmarło jeszcze przed Kijowem, miało bardzo wysoką gorączkę i po prostu zasnęło. Wszyscy starali się dziecku pomóc, ale co można było zrobić? Przecież nawet nie było można go umyć, bo nie było w czym. Z tego wiadra wody każdy mógł dostać tylko troszkę.

Od Kijowa już co kilka stacji otwierali i dawali chleb. Prócz chleba i wody nie dawali nic. Każdy coś miał ze swojego domu. Gotowało się w garnku na piecyku, zupę czy coś tam. W transporcie przeważnie jechali ludzie ze wsi, byli bardziej zasobni. Pozabierali ze sobą jakieś kasze, mąkę. Ja jechałam bez niczego, a oni zawsze coś mieli. Ale wtenczas gotowaliśmy sobie i dla wszystkich było po garnuszku czegoś ciepłego.

Naszego transportu pilnowało z dziesięć osób, więcej nie ~~potrzebowało~~ potrzeba było. Później zatrzymywaliśmy się przy większych stacjach i nieraz dawali gorącą zupę - szło się z wiadrem i dostawało się zupę i kawałeczek chleba. To było wszystko.

W czasie całego transportu nie mieliśmy żadnych kontaktów z ludźmi z zewnątrz. Konwój bardzo agresywny był do granicy polsko-radzieckiej potem byli już spokojni, bo wiedzieli, że ani uciekać nie będziemy, ani, no bo co... Tym bardziej, że tran-

aporty były cały czas zamknięte.

Ludzie zaczęli chorować. U nas już w Kijowie zachorowała kobieta, mówili, że na tyfus, ale nikt diagnozy nie stawiał. Objawy były tyfusu. Chora została w Kijowie, my pojechaliśmy dalej. Przyjechała karetka, zabrali ją. Bali się, że to choroba zakaźna. Nazwiska tej pani nie pamiętam.

Na całej trasie postojów było strasznie dużo, zawsze stawiali gdzieś w polu i jak staliśmy godzinę lub półtorej, to wypuszczali nas. Nieraz stało się i dwie, i trzy, i cztery godziny. W takim polu nie musieli nas za bardzo pilnować. My tylko tyle że wyszliśmy, żeby trochę powietrza zaczerpnąć. Nie mogliśmy się nawet zorientować, gdzie jesteśmy.

Dopiero jak dojechaliśmy do Uralu, widzieliśmy, że to są góry, że to Ural i że część europejska się kończy. Kalkulowaliśmy, że jak przejedziemy Ural, to znaczy, że jesteśmy w części azjatyckiej. Ale te transporty tak się kręciły, nie jechały w jednym kierunku. Stale nas gdzieś stawiali na bocznicę, bywało, że cofaliśmy się. Raz już byliśmy pewni, że jedziemy z powrotem do domu. Ale widać, że im to odpowiadało, co im zależało. 15 kwietnia wyjechaliśmy z Lwowa a w czerwcu byliśmy dopiero w Kustanaju. Jeździliśmy po całej Rosji a jeździliśmy.

Jechaliśmy z Ufy do Czelabińska, z Czelabińska do Kustanaju. W Kustanaju stały już samochody ciężarowe i wstawiali nas na nie po kilka rodzin. Właśnie tam, w Kustanaju wujek Kawecki, mówił bardzo dobrze po rosyjsku, postarał się, żeby nas razem wziąć, żebyśmy mogli być razem, żeby choć cała rodzina była razem.

To była cała rodzina Kaweckich: wujek Eugeniusz Kawecki, jego żona, Eugenia Kawecka, babcia Anna Kawecka i jej syn Stanisław Kawecki. Anna Kawecka była siostrą mojej babci. Czyli rodzina

dość bliska. A my jechaliśmy tak: babcia Maria Witeha, Zenon Kubów, Olga Kubów, Stanisława Witecha córka babci, bo babcia Witecha, Romana Becela i Ireneusz Becela. I połączyliśmy się razem.

Na tej jednej ciężarówce jechało sześć rodzin, w każdej rodzinie przeciętnie po pięć, sześć osób. Ładowali, ile się zmieściło, nie zależało im, czy jedna osoba będzie więcej czy mniej. Tak pchali, że jak jeszcze było trochę miejsca to dopychali jeszcze jedną rodzinę. Było pełno.

My z Kustanaja wyjechaliśmy do kołchozu Kamionka, rejon Mendecharynski, obłast Kustanaj i w tym obozie byliśmy cztery lata. W 1945 roku przenieśliśmy się do sowchozu.

Przyjechaliśmy do kołchozu. Nie było tam dla nas żadnego specjalnego pomieszczenia, dawali każdą naszą rodzinę ruskiej lub kirgiskiej rodzinie. Nie pytali nikogo, czy chce, czy nie chce. Aby tylko wszystkich rozłokować. Mnie z bfatem trafiło się do kirgiskiej rodziny. Byłam pełna strachu, nie tylko że po rosyjsku nie umiałam - po kirgisku kompletnie nic nie rozumiałam. Kirgizi po rosyjsku mówią źle.

To była jedna izba, zostawili nas w kacie i sprawa była skończona. Nie ma tam w ogóle łóżek. Przez sześć lat nie widziałam łóżka. Spało się na ziemi. Ułożyliśmy siano, porozkładaliśmy koce i tak na ziemi.

Najgorsze było to, że nie mieliśmy w pobliżu lasu. Bo las jednak karmi człowieka, są wtedy grzyby, jagody. I lasy to przede wszystkim opał. A my byliśmy daleko od lasu. I daleko od miasta. Dopiero 300 km od nas był Kustanaj. Las był od nas 150 km, byliśmy więc pozbawieni drzewa i dlatego spaliśmy na ziemi, w ziemiankach na ziemi. Później jak byliśmy w sowchozie, to tam był już zrobiony barak i nrycze były porobione, ale

w kołchozie byliśmy cały czas w ziemiankach. Potem zaczęliśmy sami budować sobie ziemianki i wtenczas rodziny polskie starały się być razem.

Do pracy musiało się iść z miejsca. Nawet mój brat, który miał dopiero sześć lat musiał paść krowy, które w swoim życiu po raz pierwszy widział z bliska.

Wujek musiał budować szkołę. Dali nam plany i wujek, który na nie popatrzył, powiedział, że one się nie nadają do budowy z kamienia, że to powinno inaczej wyglądać. Był tam jakiś inżynier lub technik i on spytał, co wujek by zrobił. No to wujek mu narysował jak to powinno być. Ten pan zabrał szkic wykonany przez wujka i ten plan zaakceptowali. Przywieźli go z powrotem i powiedzieli wujkowi: - "Ty będziesz brygadier i będziesz budował tę szkołę." Rzeczywiście, wujek budował a nas pilnowali, żebyśmy kopali kamień. To była nasza pierwsza praca tam. Najpierw wykopywało się kamień, jak głęboko się kopało to był tam kamień, potem obciosywało się go robiąc takie bloki i wносиło się je pod szkołę. Kamienie obciosywało się czekanami. Była to bardzo ciężka robota. Ja nigdy fizycznie wcześniej nie pracowałam. Nie wszystkim ta praca wychodziła. Ci ludzie ze wsi bardziej byli do tej fizycznej pracy dostosowani.

Tak że ja długo przy tym kamieniu nie robiłam. Zaraz nas wzięli do roboty na polu. Na polu robiliśmy wszystko - sianie, oranie, koszenie... Praca trwała od świtu do zachodu słońca. Tam nie było godzin. Przerwa na zjedzenie czegoś w południe była, ale to wszystko. Słońce zaszło, to koniec roboty.

Do pracy chodziliśmy zorganizowani. Był punkt zborny, na który wszyscy przychodziliśmy, jak ktoś nie przyszedł, to zaraz po niego przyjeżdżali, Kirgiz przyjeżdżał. Chyba że ktoś był naprawdę ciężko chory, ale wtedy musiał mieć zaświadczenie le-

karście.

Co nas męczyło, to malaria. Ja pierwsza z Polaków dostałam malarię. Polegała ona na tym, że trzęsło zimno, potem była gorączka do 40 stopni, a jak atak minął, to trzeba było normalnie iść do pracy. Leczyliśmy malarię tylko i wyłącznie piołunem. Piołunu było tam strasznie dużo, piołun się ścinało, suszyło, gotowało i ten piołun był wszystkim: był żugiem, bo nie mieliśmy mydła, tym żugiem praliśmy, myliśmy się, paliliśmy nim, gotując pod trójnogiem, pomagał na malarię. Powinna być chinina, ale nie było. 16 km od naszego kołchozu był felczer i niby taki szpitalik - po prostu izba chorych. Ten felczer wydawał zaświadczenia lekarskie. Było tam tylko jedno lekarstwo, takie czerwone ciastki. Wszyscy je dostawali na wszystko. Co to było nikt nie wiedział. Ono i tak nie pomagało, i tak nie pomagało, ale kolor był.

Za pracę nam niby płacili, ale myśmy nigdy tych pieniędzy nie widzieli. Zapisywali nam tak zwane trudo-dni i za to mieliśmy dostawać ekwiwalent - mleka ściąganego, zboża itp. Każdy miał zadane wykonanie planu, ile zrobił, to naliczało mu się tyle i tyle trudo-dni. Trudo-dni były obliczane nie na złote, nie na akord - to był taki przelicznik, z góry było ustalone, ile czego przypada na jeden trudo-dzień. Zbierało się te trudo-dni i jak przyszedł rok obrachunkowy, wtenczas liczyli ile się zapracowało odpadów, czy zboża. Wszystko to przeliczali na te trudo-dni. Jeden trudo-dzień obejmował więcej niż jeden dzień pracy. Jak się nie wykonało planu, to nie było trudo-dnia.

Ale na kołchoz nałożony był tak duży kontyngent zboża, że nigdy nie był w stanie oddać tyle zboża. No a co dowicro, żeby nam dali? To zboże, które zostawało na siew, myśmy przewiewali zimą i odpady dostawaliśmy jako ekwiwalent. Gdybyśmy nie kra-

dii pszenicy, chyba by nas tutaj dzisiaj nie było. To tylko na kradzieży pszenicy przeżyliśmy. Wujek zrobił żarna - miał złote ręce do wszystkiego - i co się trochę pszenicy przyniosło, to na tych żarnach się poręczono, mąkę lub krupę na wodę i zjadło się. I tak codziennie.

Tam nie było ziemniaków, nie było nic. Tam nie było czasu wegetacji. Po prostu lato trwało za krótko. Jak posadziliśmy ziemniaki, to nie zdążyły w ziemi dojrzeć. Po drugie były tak silne mrozy, że po prostu wszystko by zmarzło. Żyliśmy więc tylko pszenicą i dostawaliśmy chleb. Brat dostawał 20 deko, a ja 30 deko. Jak pracował, to też dostawał 30 deko. Mama dostawała 30 deko, a jak była chora, to dostawała 20 deko. Kompletnie brakowało soli. Wchodziło się w układy z tymi, którzy chodzili do miasta, jeździli tam kierowcy samochodowi i wozili pszenicę. Z nimi prowadziliśmy handel, wymienialiśmy, co jeszcze mieliśmy do wymiany. Cały czas chodziło o sól. Co można było więcej kupić?

Nieco było jak coś padło. Zabijać to nie. Jak padło to się kradło. Kirgizi trzymali konie i trzymali owce. Ruscy mogli mieć jedną świnie, mogli mieć kury i mogli mieć owce, ale tylko trzy. Kirgizi owiec mogli mieć więcej. Nam nie wolno było trzymać niczego. Tam było coś dziewięć narodowości: Kirgizi, Czuwasi, Ungusi, Czeczeńcy, Niemcy, Turcy, Grecy, Ukraińcy. Wszyscy byli traktowani jednakowo, oni wszyscy byli na zsyłce. Z tym że nas Polaków wiecznie liczyli. Jeśli chcieliśmy gdzieś iść, np. do sowchozu, to musieliśmy się zameldować, powiedzieć, gdzie wyjeżdżamy, gdzie wychodzimy. Tanci - nie wiem. Ale gdzie było można od nas iść, jak do stacji do Kustanaja było 300 km.

Ludzie innych narodowości jakoś nas respektowali. Uważali nas za ludzi bardziej światłych, bardziej rozgarniętych, mieli

do nas jakiś taki szacunek. Nie objawiał się on w takim sensie, żeby nas specjalnie hołdowali, ale przyjaznym stosunkiem do nas. Nie negatywnym, raczej przyjaznym. Zresztą tam wszyscy na jednym koniu jechali, wszyscy byli zestani.

W 1943 roku przyjechali spod Leningradu Niemcy tzw. któregoś pokolenie Niemców, ale byli rzeczywiście Niemcami, inteligentni ludzie, wykształceni. Oni też traktowali nas przychylnie, rozmawiali.

My przeciwnie, do wszystkich byliśmy ustosunkowani tak negatywnie... Nie okazywaliśmy tego oczywiście, ale też nikomu nie wierzyliśmy. Nie wierzyliśmy absolutnie nikomu, nawet tym, którzy chcieli dla nas może i dobrze. Tak byliśmy rozgoryczeni. Co tu się dziwić - choroby i zimno, nie dostaliśmy nawet chusteczki. Co mieliśmy z sobą, darło się, kończyło. Byliśmy tak bardzo rozgoryczeni. Rosjanie też raczej byli nam przychylni, ale właściwie Rosjan tam było bardzo mało, tam byli Kirgizi. Kirgizi to bardzo tajemniczy naród, absolutnie człowiek nie może im wierzyć. Baliśmy się ich. Pomagać to nie pomagali, ale jak człowiek czasem zarobił, a oni bili owieczki to coś się zamieniło z naszych ciuchów, czy jak koninę mieli.

Od Kirgizów nie doznaliśmy nic złego, a jednak baliśmy się ich bardzo. Baliśmy się ich może dlatego, że ich nie rozumieliśmy. Oni nie posługiwali się językiem rosyjskim, znali go, ale najczęściej mówili po kirgizku. Poza tym było u nich wielożenstwo. Od nich nie zaznałam nic złego, niemniej do końca panicznie się ich bałam, bałam się, bo różne słuchy chodziły. A to że napadają, że gwałcą, takie chodziły słuchy. Ja nie mogę potwierdzić. Nawet muszę powiedzieć, że są bardzo gościnni. Ale poza tym nieśamowicie się ich brzydziła. Długo się nie brzydziłam, ale raz widziałam jak Kirgizka zębami wszy zabijała.

wszy mieliśmy wszyscy, ale... i do dzisiaj, jak sobie to przypomnę, to wolałabym być ciężko głodna, jak u nich coś zjeść. A przyznać trzeba, że są bardzo gościnni. Gdy piją czaj, zapraszają i musi się z nimi usiąść i z nimi herbatę wypić. We wszystkich tych narodach wschodu najpierw jedzą mężczyźni, potem jedzą kobiety, ale gościnni są. Niemniej baliśmy się ich, staraliśmy się po prostu nie zostawać z nimi sam na sam, zawsześmy się grupowo trzymali - Polacy.

Swoją drogą tam gdzie byliśmy były różne narodowości, Kirgizów nie było tak dużo. Oni mają wioski dla siebie, tzw. auły, w których mieszkają. I tam tworzą dla siebie kokchozy, sami dla siebie. Bardziej niż Kirgizów baliśmy się Unguszów. Ungusi przyszli z południa Kaukazu. Tych baliśmy się niesamowicie. Zawsze chodzili z kinżakami i taki jak sobie kobietę upatrzył, to mowy nie było, żeby się jemu oparła.

Natomiast Polacy między sobą, na obczyźnie żyją inaczej, kochają się bardziej, pomagają sobie, mężczyźni bardzo jedni drugim pomagali, wszystkie święta obchodziliśmy między sobą. Bardzo byliśmy ze sobą zżyli. Jak ktoś umarł, to wcale nie współczuliśmy, myśmy mu zazdrościli, że umarł i skończyła się jego męka. Sytuacje były takie, że wydawało nam się, że już nigdy nie wrócimy. Ani żadnych wiadomości, nic.

Mleko piliśmy, jak się ukradło. Ci którzy robili koło krów, dostawali mleko ściągane - były tam centrifugi, maszyny, które mleko odciagały. Śmietanę wywozili, a to mleko rozdzielali. No i doiko się ręcznie, więc każdy się mleka napił, byłby głupi gdyby się nie napił.

Nie dostawaliśmy żadnej odzieży, więc musieliśmy naszczypać troszeczkę kołchozowe owce, naciać wełnę, żeby potem prząść i zrobić sobie czy półczochy, czy jakieś reformy, czy co trzeba

było. Przecież to wszystko się darło, a nie dostawaliśmy nic. Może gdybyśmy byli gdzieś bliżej miasta, byłoby by nam może inaczej. Ale jak się jest na takiej zapadłej wsi, tak wszędzie daleko, to nic nie było.

Znaleźliśmy tam nawet takie jeziora, gdzie może nawet stopa ludzka nad nimi była. Z takim starszkiem chodziłam łowić ryby. Nie wolno było łapać, więc chodziliśmy nocą. Ja szłam w bród, a on szedł brzegiem i za jednym zaciągnięciem potrafilismy 15 do 16 kg ryb wyciągnąć. Różne ryby - szczupaki, liny, ale takie olbrzymie. Cały czas nie było soli, ale jak trochę tych ryb przewiozłam to trochę podzieliłam, a resztę z tymi kierowcami człowiek się dzielił, żeby soli troszeczkę przywieźli.

Za połów groziła nam kara, za wszystko była kara. Największą karą było to, że nie dostawaliśmy chleba. Mój brat pasł kiedyś krowy i jak to dziecko, nocą zasnął. Dziecko w ogóle nie powinno wychodzić w ten wysoki step, dziecko jest małe, w ogóle nic nie widzi, no ale kazali, to pasł. Potem zasnął. Krowy poszły na lucernę i je wzdąło. Trzy czy cztery uratowali. Ale jedna krowa padła. Ponieważ on był małoletni i nie można było go sadzić, to sadzile mnie. Za to że krowa padła. Przez cały rok nie dostawaliśmy ę chleba, ja i brat.

Była godzina gdzieś koło pierwszej w nocy. Nie zapowiadali nic, bo tam nigdy nic się nie zapowiadało. Takie rzeczy odbywały się w nocy. Przyszedł po mnie goniec na koniu: - "Dawaj w kantoru." i poszłam. Nie wiedziałam nawet, po co idę. To był normalny sąd. Siedzieli w kantorze, było ich chyba pięciu wszyscy Kirgizi, wojskowi, spoza kołchozu zdaje się, że jeden tylko Rosjanin. Ciemno w tym kantorze, światła nie widać, tylko panierosy, wszyscy palili papierochy. Przedstawili mi akt oskarżenia, odczytali w języku rosyjskim, że brat mój pasł krowy

i krowy poszły w lucernę i jedna krowa zdechła. Ponieważ dziecko miało wtenczas siedem lat, nie mogli jego sądzić, to ja byłam za niego odpowiedzialna. Wyrok: ani ja ani on nie dostanę przez rok chleba, ale naturalnie muszą pracować. Nam pracować, ale chleba nie dostanę. W tym kantorze w rankach była oprawiona cała konstytucja Związku Radzieckiego, której oni na pewno nie czytali - jak nieraz mówiłam, że my jesteśmy wolnym narodem, bo każdy kto się znajduje na terenie Związku Radzieckiego jest wolnym człowiekiem, tak przynajmniej mówi ich konstytucja, to oni byli zdziwieni, że to konstytucja takie coś mówi. Na tym sądzie brata nie było, byłam tylko ja.

Cały czas później żyliśmy na kradzieżach. Brat woził chleb 16 km i zawsze coś w piekarni dostał, ale mógł go tylko tam sjeść. A jak już przywiózł chleb, ja wychodziłam po niego i składaliśmy chleb w takim sklepiku, w którym jedna chleb dzieliła. Ale my nie mieliśmy kartki. No to człowiek musi kradść. Przecież coś jeść musieliśmy. A jak zapracowaliśmy pszenicę, to jak nam troszeczkę dali, to to, co nam dali, trzymaliśmy, a resztę tośmy wiccznie kradli. To tak, żeby się nazywało, że ta cò stoi, to jest to zarobione, tanto kradzione się jadło.

Mrozy przeciętnie: -30, -35 stopni, potem przychodziło bardzo ciepłe krótkie lato - koniec maja, czerwiec, lipiec; sierpień - już się mrozy rozpoczynały, nocą, w dzień było jeszcze ciepło. W nocy było już bardzo chłodno. Z opałem była straszna tragedia. Robiliśmy tzw. kiziak. Jest to krowi nawóz, wysuszony albo też zmieszany z czymkolwiek, ze słomą, sianem, uformowany w takie cegiełki. To się suszyło. Ale nigdy nie paliliśmy na ciepłotę. Palilo się, żeby troszeczkę coś zagotować. Rosjanie mieli w ziemiankach piece, na których spali. My to już tylko tyle, żeby coś zagotować. Ten opał też kombinowaliśmy. Kołchoz

miał dużo krów, to chodziło się za tymi krowami, zbierało się ten nawóz i przynosiło się dla wszystkich. Nigdy go nie wystarczało - tego trzeba było mieć bardzo dużo.

W zimie wywozili nas też 150 km na karczowanie lasów, więc stamtąd, jak wracaliśmy do domu, można było sobie naładować na sanki, którymi wracaliśmy, chrustu i przywieźć. Wtedy na trochę dłużej starczało opału.

Do karczowania lasu zawozili nas na tydzień, dwa tygodnie, trzy. Później przyjeżdżaliśmy znowu na chutor. Tam była chata zbudowana z drewna, duże. Palito się tam do potęgi, bo drzewo było pod ręką. Jak nas tam przywieźli, to pierwsze co mi się rzuciło w oczy, to w kubikach ustawione drzewo - pocięte, brzoza /tam była tylko brzoza/, podchodzę i widzę nazwiska: Kowalski, Gwiazdowski. To jeszcze z tamtej zsyłki. Nasze drzewo, które myśmy ścinałi spuszczałi do takiej małej rzeczki U i spławiali. A tamto tak stało, spruchniałe, tak że jeden duży kawałek można było jednym palcem podnieść. Spotykało się też z tamtego okresu krzyże na polach, z nazwiskami polskimi.

Dwaj mężczyźni, obaj tak jak mój wujek, byli drugi raz zesłani, poszli pieszo z powrotem do Lwowa. To był 1941 rok, byli z nami osiem czy dziewięć miesięcy. Znaleźliśmy się tam w czerwcu, a to była jeszcze zima jak poszli. I nawet doszły nas słuchy, że doszli. Jechali troszkę na gapę, znali doskonale język rosyjski. Najgorzej było wyjść od nas, ponieważ była to tajga, a widoczność na ileś kilometrów. Sylwetkę się widziało, bo to była równina. Oni jakoś doszli, udało im się. Ich nazwiska to: Gwiazdowski i Piotrkowski, starsi ludzie, bez rodzin.

Jak organizacyjnie wyglądał koczoch. Najpierw był przedsiębiorca, to tak jak u nas wójt. No i była rada sołecka, przeważnie byli w niej Kirgizi. I był telefon, który stale był nieczarna-

nny, a jak był czynny to dostawali wiadomości. Jak nie był czynny, to mówili, że zamarzło w trubce. Dmuchali, grzali i od czasu do czasu dziażak, nie mieliśmy prądu, był taki kaganek. Było tam w sumie jakieś 1500 ludzi, nie więcej. Wszyscy tworzyli jedną brygadę, każdy robił co innego, ale rano każdy wiedział, co ma robić - ten przy owcach, ten przy krowach. Na pola szli wszyscy jak miało się orać, to się orało, jak siał, to się siało, zwyczajnie, jak na każdym polu. To były olbrzymie przestrzenie, stale oraliśmy ziemię, która nigdy nie była uprawiana, oraliśmy zachwaszczone pola, które nigdy nie były obsiewane. Nawet nie wiem, ile to było hektarów, olbrzymie przestrzenie, których nie jestem w stanie określić. Mieliśmy zasiać określoną ilość zboża, to tak sialiśmy i sialiśmy.

Warunki cały czas były okropne. I taki pochówek mojej babci, która zmarła w zimie. Była taka straszna zawierucha. Zasypano nas śniegiem na trzy doby, nie dało się drzwi otworzyć. Trzy doby ze zmarłą babcią musieliśmy przetrwać w zasypanej ziemiance. Musieliśmy czekać, aż się do nas dostaną. A potem chowaliśmy ją najpierw w śniegu, do wiosny. Dopiero wiosną jeszcze raz kopaliśmy z moim wujkiem dla niej grób. Babcia zmarła właściwie z głodu. Była taka straszna awitaminoza, młodszy, silniejsi trochę lepiej to znosili, a ona... Dostała takie rany, głębokie do kości i ciało po prostu odpadało. Nie wiem, co to za choroba. Straszna. Krótka chorowała. Umierając miała 64 lata, taka bardzo stara nie była. Nie wytrzymała tego wielkiego głodu. Tak chciało nam się pić, jeść.

Mój brat też... Przecież dziecko, nie mógł zrozumieć tego wszystkiego. Gdy nas odkopali i przywieźli chleb - chleb, który wtedy przywozili był z prosa, czarny taki, twardy - mój brat tak strasznie rzucił się na ten chleb, a ja nie chciałam mu dać. Bo jak się tyle wygłodził, chciałam, żeby się zagotowała

woda i żeby chleb na wodę wrzucić, żeby najpierw dostał tego płynu a dopiero potem chleba. On tak rzewnymi łzami płakał, że nie chcę mu tego chleba dać. Babcia już nie żyła.

Taka ziemianka w części była pod ziemią, a w części nad ziemią. A jak był taki huragan, to zawiął po prostu. Rosjanie czy Kirgizi potrzebowali ludzi do pracy i odgarniali śnieg, żeby ludzie mogli się z tego dołu wydostać. Od środka nie było możliwości. Trzeba przyznać, że te huragany nie były takie częste, ale jak były to trwały do tygodnia. Taka zawierucha, że na metr przed sobą nie widziało się nic.

Musieliśmy bydło poić w rzece, to linami przywiązywało się do stajni, żeby móc z powrotem wrócić, i szliśmy. Robiło się takie przeręble - co się zrobiło przeręble, to za dnia znowu zawiąło. Trzeba je było robić, żeby bydło mogło się napić wody. Ale potem było bardzo śliczne niebo, piękne, gwiaździste, tak jasne, że w nocy można było bez światła na drutach robić. Śnieg i księżycowe jasne, bardzo jasne noce, śliczne. No i mróz, bardzo silny mróz. Najczęściej bezwietrznie, wiatr tylko podczas tych huraganów. Huragan przeleciał i potem kompletna cisza.

Kiedyś byliśmy z bratem świadkami jak wilki napadły na stado koni. Między końmi były dwa ogiery. Był to chyba koniec stycznia, wilki były bardzo głodne. Do koni zbliżało się całe stado wilków. My z daleka widzieliśmy, jak jeden ogier, drugi, trzeci stawały dęba. Wilki rzucają się przeważnie do szyi. Jak ogiery stanęły tak w przodzie do tych wilków, to reszta stada uciekała. Ale był taki nieduży zrebak. Wilki dopadły do niego i złapały go tak, że szarpał się z nimi. Potem wilki uciekły, bo nadleciała pomoc, strażnicy, którzy pilnowali koni. No i wszyscy odeszli, tylko ten zrebak został. Pamiętam jak brat prędko poleciał po siekierę, a ja, zrebak już nie żył, chciałam kawa-

łek z nogą odrąbać. Nie wiedziałam, jak się mam do tego zabrać, a trzeba się było spieszyć - gratka się zdarzyła, mogliśmy mieć kawałek mięsa. Pamiętam, jak się strasznie namęczyłam, żeby wyciąć z tego kawałek, wyciąłam udo. Teraz się zastanawiam, ile ja musiałam mieć siły, żeby to wszystko zrobić. A po drugie musiałam mieć dużo samozaparcia, żeby to w ogóle zrobić. Pierwszy raz w życiu takie coś. Pamiętam jak wreszcie przynieśliśmy to do domu, całą nogę, z ułen, ze skórą ze wszystkim, wszystko jeszcze zakrwawione. Ale jak przynieśliśmy to do domu, radocha była niesamowita - tyle jedzenia. Mnie rosło tutaj w gardle, nie mogłam. Do dzisiaj, to jest tyle lat, widzę to zrebię i jak ja sobie wtenczas dawałam radę, to było po prostu niesamowite. Jak to robiłam, sama nie wiem. Dzisiaj są to rzeczy, które się w głowie nie mieszczą.

Kiedyś na owce napadły wilki. Jedna, którą schwyciły, padła, nie zagryzły jej, tylko drugą dopadały. Masę tych owiec wówczas leżało. Naturalnie owce takie się zbierało, oni je dożynali. A ja dopadłam do jednej i tę wełnę, bo o wełnę chodziło. Spieszyłam się, żeby nożycami naciać jak najwięcej. Ręce mi się trzęsły, płakałam, nodliłam się, wszystko razem. Człowiek musi robić wbrew swej woli, a tu potrzeba, bo życie jest twatdsze od wszystkiego. I zdawałam sobie sprawę, że jak nie przyniosę tej wełny, to nie będzie pończoch, nie będzie nic. A to jeszcze musiało się sprząść, musiało się zrobić jakąś bieliznę czy co innego. W czymś trzeba było chodzić. Jak tak dzisiaj sobie pomyśle to...

Pamiętam jeszcze takie zdarzenie. Do Kustanaja było 300 km. Woziliśmy przewiane, czyste zboże do skupu - powiedzmy do elewatora. Jechało nas 10 wozów a właściwie sanek napełnionych tym zbożem. Raz tak mi przypadło, że byłam ostatnia. A woły są takie diabelne, że jak się położą to nie wstaną za żadne

skarby świata. I zaczęło wiać. Zawierucha się zapowiadała. Jadę, a tu mi się jeden kładzie, to go trochę popędzę, jeden wstał, to drugi się kładzie. A oni odjeżdżali i odjeżdżali. W końcu rzeczywiście rozpoczęła się wichura, a tu jeden wół stoi, a drugi leży. Leży, ja tak patrzę, a on zdechł. Po prostu zdechł. Co nam zrobić? Oni dojechali już do jakiegoś kołchozu i zorientowali się, że mnie nie ma. Ja wprowadziłam wołaka, ale nie słyszeli. Wiatr taki wiał. Wiatr ze śniegiem tak już zawiewa, więc wyprzęgłam żywego byka, ale nie wiedziałam, co mam z martwym zrobić. Wiedziałam, że jak się puści woły to one idą śladem i dojdą do celu, więc o żywego byka spokojna, byle mi się nie położył. Już z daleka zobaczyłam sylwetkę, to byli Kirgizi. Wyjechali mi na przeciw na koniach. Dla mnie to było okropne przeżycie, myślałam, że tam zamrznę. Przecież nie wiedziałam, że po mnie przyjdą. Miałam wszystkie najgorsze myśli, jakie tylko można sobie wyobrazić. Wróciliśmy po martwego byka i trzeba było go na sanie położyć. I w trójkę położyliśmy tego woła. Nie wiem jak w trójkę tego dokonaliśmy, był przecież si ciężki jak piorun. A ja przecież wtenczas miałam 18 lat.

W niedzielę modliliśmy się, bo w tej modlitwie człowiek znalazł jakieś ukojenie, trochę czuło się, że ktoś wysłuchał. Bo tak, na tym pustkowiu, kto kogo wysłucha? Chłówek tak w tej religii tkwił...

W modlitwach nam nie przeszkadzano, bo modliliśmy się w domu. Rosjanie też się modlili, ci starsi, i nikt nic nie mówił. Naturalnie nie manifestowaliśmy tego. Śpiewaliśmy. Litanie, różańce, no i święta. Wszystkie święta staraliśmy się uścić. Najbardziej przykre były pierwsze święta, ale potem z każdym rokiem były trudniejsze, z każdym rokiem bardziej smutne. Najsmutniejsze, gdy nasi chłopcy pojechali raz jak powstawała arnia Andersa,

a drugi jak powstała armia Kościuszkowska /wtedy poszli ci młodzi, którzy już podrośli/. Zostały same kobiety. I bardzo było przykro, że jesteśmy takie same.

Wszystkie święta były jednakowe. Pracowaliśmy normalnie, ale wieczorem, na kolację zbieraliśmy się u kogoś, wspominaliśmy, masa łez, modlitwa, kolędy. Zawsze się spotykaliśmy w jednej ziemiance wszyscy. Najprzód była wielka cisza, potem się wszyscy głośno modlili, potem śpiewaliśmy kolędy. I właściwie na płaczu się kończyło. I tak w każde święta. Pogadało się o tym o tym, potem robiło się cicho, siedzieliśmy, nikt nic nie mówił, każdy przeżywał sam w sobie. Bez nadziei, bez niczego. Rano szło się do pracy, wieczorem znowu spotykaliśmy się razem, u kogoś drugiego. W święta Bożego Narodzenia, które przeżywaliśmy najbardziej, to są święta takie rodzinne, więc tam bardzo, bardzo się przeżywało - staraliśmy się zrobić z mąki lepioszki. Paniątkam, jak na jakieś święta, ponieważ stale brak było jedzenia, mieliśmy akurat ziarna słoneczników. Każde jedno ziarenko wydkubywaliśmy i później te ziarenka przygrzewałam na patelni, podsmarzałam i dodawałam do kaszy i robiłam wielką ucztę. Kasza dostała oryginalny zapach, troszkę migdałowy, było to też trochę tłuste, wspaniała kasza ze słonecznikami.

Do jedzenia była przeważnie pszenica zmielona na żarnach - i jako kasza, i jako mąka. Robiło się kluski na wodę.

Choinki nigdy nie robiliśmy, bo nie było ani papieru, ani drzewka. To były tajgi, nie tam nie było. Zamiast opłatkami dzieliliśmy się chlebem po prostu. Prezentów żadnych nie dawaliśmy sobie, bo niczego nie mieliśmy, nawet nie wchodziło to w rachubę. Najlepszym dla nas świątecznym prezentem byłaby najmniejsza iskiereczka nadziei, że wrócimy do kraju. A tak to już dosłownie nic.

Jeśli chodzi o Nowy Rok, to człowiek tylko wiedział, że jest. Rosjanie obchodzili Nowy Rok bardzo uroczystie. Składali sobie życzenia, obdarowywali się. Czym mieli do zjedzenia to częstowali w Nowy Rok. Chodzili na cmentarze, odwiedzali swoich pochowanych i tam odbywały się wspominki. Nosili jakieś lepioszki, nierozki, rozdawali między sobą. Mój brat zawsze chodził na te wspominki.

Innych świąt, osobistych, nie urządzaliśmy, nawet nikt nie wiedział, że są czyjeś imieniny. W kółchozie odbywały się obchody 1 maja, to nawet było święto, ale myśmy go nie świętowali. Przecież to był kółchoz - było bydło, więc trzeba było pracować normalnie. Tam dni wolnych nie było, pracowało się na okrągło. Przede wszystkim było tam bardzo dużo trzody tzn. krów, owiec no i troszkę koni. Były jeszcze woły. Na Wołani pracowaliśmy. A więc tak jak na wsi: bydło musi być napojone i nakarmione, święto nie święto. Drugie święto w kółchozie, to było październikowe święto rewolucji. Nieraz na 1 maja dali trochę mydła. Raz pamiętam - po 10 deko cukru, takiego rąbanego. Tak było raz pod koniec, a tak nigdy niczego nie było. 1 maja wywieszali flagę, napis "1 maja" i to wszystko. Żadnych festynów.

Od czasu do czasu przyjeżdżało kino objazdowe, które pokazywało wojenne filmy. Wszyscy siadali na ziemi a oni na tym jedynym trochę większym budynku, tzw. kantorze, rozwieszali plansze i szedł film.

Z tej naszej wywiezionej grupy zmarło siedem osób. Cztery z mojej rodziny - Witecha-Kubus Maria, Witecha Stanisława, Kawecka Anna, Kawecka Eugenia. Inna naszą rodziną zmarła Chlebek Anna, innych nazwisk nie pamiętam.

W okromnych warunkach zginęła siostra mamusi, Stanisława

Witecha. Szła z sowchozu do kołchozu i po drodze wstąpiła do kirgiskiego aulu. Był wieczór, zaskabia, czy nie miała już siły iść dalej i tam została. Uduśli ją. Po prostu uduśli. Dali znać, że zmarła. Ale była uduszona, oczy miała na wierzchu, sińce, była rozebrana do naga i wyrzucona na gnojówkę. To było lato. Zabraliśmy ją stamtąd z mamą na wozie z wołami. Nie można było wykryć, kto to zrobił. Dlaczego ją rozebrali, dlaczego ją rzucili na tę gnojówkę, nie mogliśmy dojść. W każdym razie wszyscy nam mówili, że nie wamy tam jechać, bo może nam się zdarzyć to co jej. Kirgizi są tak między sobą solidarni, że nie wydadzą nikogo absolutnie. Przedstawiciel, który był tam, starał się nam niby pomóc, mówił, że będzie się starał wyjaśnić tę sprawę, ale nic to nie dało. Kirgizów baliśmy się od samego początku. Krzywdy nikomu nie zrobili, ale może dlatego, że to azjaci, różne słuchy chodziły, w każdym razie staraliśmy się z nimi nie kontaktować. W pracy musieliśmy, ale takich jakichś kontaktów bliższych to nie.

Drugą taką narodowością, która tam przyjechała to byli Tunguzi z Kaukazu. Stale chodzili z kindżałami, ich też się baliśmy. Bardzo przystojni, tacy bardzo ładni mężczyźni, bruneci, ale jak sobie upatrzyli jakąś kobietę, to musiała być jego i sprawa skończona. Ich bardzo dużo ginęło. Polacy byli bardziej wytrzymali. A oni przyjeżdżali z południa, nie ubrani, wszystko na sobie mieli cienutki. Byli dziesiątkowani.

O poborze do wojska polskiego dowiedzieliśmy się najpierw z rejonu Mendecharytka, tam doszły słuchy, że przyjechał oficer, który ogłaszał pobór do wojska. Byliśmy pełni nadziei, że wszyscy stąd będziemy wyjeżdżać, choć on mówił, że najpierw młodzież, przede wszystkim mężczyźni i młode kobiety, dziewczyny. A potem dopiero rodziny, które się da. Nie obiecywał, że wszyscy

ale człowiek wierzył, że pojedziemy wszyscy. Tak prędko się to później wszystko skończyło.

Ten wojskowy to był Polak, który też był w jakimś łagrze. W Kujbyszewie Anders organizował, no to on przyjechał szukał Polaków. Od nas się dowiadywali, gdzie są Polacy i kto pójdzie do wojska. To była taka krótka akcja.

Z mamą połączyłam się w 1941 roku w sierpniu. Przyjechała do nas z Aftibińska z łagrów do Kustanaja, a dowiedziała się, gdzie jesteśmy, przez Kujbyszew. Przyjechała już jako osoba wolna. To był okres, do czasu jak zginął gen. Sikorski, gdy byliśmy wolni i mogliśmy się swobodnie poruszać. No ale czym? Trzeba było mieć czym i trzeba było wiedzieć gdzie. Nie ruszaliśmy się stamtąd, bo nie mieliśmy warunków, żeby się gdziekolwiek ruszyć. Więc to mama przyjechała do nas. Gdy się skontaktowaliśmy z mamą, to proponowałam żebyśmy się tam przenieśli, bo tam jest bliżej, że pewnie cieplej, bo bardziej na południu. No tak, ale żeby się ruszyć, trzeba by było wziąć i babcię, i ciotkę, i brata, brat był przecież jeszcze dzieckiem, jeszcze babcia żyła, nie mogłam ich przecież zostawić. Ja jedna pracowałam, jakoś ich utrzymywałam. A ja nie miałam po prostu ani w czym ani za co wyruszyć w drogę. Mama coś tam zahandlowała, połowę jechała na gapę, no i jakoś do nas dojechała. Przyjechała z tego łagru bardzo chora. Kompletna awitaminoza. Ważyła chyba 45 kg, kompletnie wycieńczona. Chorowała cały czas.

Ojciec cały czas pisał do ekspozytury w Kujbyszewie. Onkacił dwa razy przejazd dla całej rodziny do ambasady, chciał żebyśmy tam przyjechali. Ale nawet nie dali nam znać. Mam tu z Kujbyszewa trzy telegramy od ojca, z pytaniami o nas. Jeden telegram, ten dostaliśmy w końcu 1943 roku, szedł cały rok z Aleksandrii.

Najbardziej dla nas tragiczne było, jak zginął gen. Sikorski.

Zawiadomili nas o tym ci, którzy wyjechali. Pisali do rodzin, że nie ma dla nas szans, żebyśmy się wydostali stamtąd. Oni już byli w Iranie. Pewno, że ta korespondencja długo szła, ale przyszła przez Kujbyszew. Przez Kujbyszew szła prędeej. Była to jakaś poczta polowa. I zrozumieliśmy, że już dla nas nie ma szans, że my już nie będziemy się mogli stamtąd wydostać. To było bardzo wielkie rozczarowanie.

Ani gazet, ani żadnych wiadomości nie mieliśmy. Nawet taka gazeta jak ich "Prawda" nie dochodziła, a jeśli, to z takimi już starymi wiadomościami, że całkiem nieaktualnymi. Właściwie gazeta potrzebna była do machorki. W tych gazetach oni pisali, gdzie była jaka walka. Podawali ilu Niemców wzięli do niewoli, jak zdobyli, naturalnie podawali też ilu ich zginęło, w końcu trzeba było też to podać. Ale były to gazety takie nieaktualne, takie stare. To co myśmy z nich wyczytali, to po rusku. Najczęściej przychodziła "Prawda".

W 1944 roku powstał Związek Patriotów Polskich. Zapisywali się. Ja się nie zapisałem, bo byłem prawdziwą patriotką. Wszystko co się w Rosji dzieje i organizuje to, no... Ale rzeczywistość. Potem była nawet taka gazeta polska, która do nas przychodziła, to już coś wiedzieliśmy. Parę razy przyjechało obyczajowe kino, wyświetlali, jak to Rosjanie zdobywają, jak jest na froncie, jak Niemcy uciekają, a my nawet nie wiedzieliśmy jak daleko ci Niemcy są.

Dla mnie wojna właściwie się skończyła na wywozie. Myśmy nie wiedzieliśmy, jak wojna wygląda, co się tutaj dzieje. Absolutnie nie. Jak już człowiek wyjechał na Sybir, to tam już nie dochodziło.

Dowiedzieliśmy się, że tworzy się Armia Kościuszkowska, pisali o tym w tej polskiej gazecie. To był 1944 rok. Ja też dostałam wezwanie, do armii polskiej. Było napisane po polsku i

po rosyjaku, że mam pobrać cały ekwipunek żywnościowy na drogę i się stawić; że oni przyjadą, odbiorą nas wszystkich z wyznaczonego miejsca. Naturalnie z góry wiedziałam, że je do takiego wojska nie pójdę i że muszę coś zrobić. Wiedziałam, że to nie jest nasza armia. Tworzyła się na terenie Związku Radzieckiego. Wiedziałam, że to będzie armia polska, tylko pod Związkiem Radzieckim. Wiadomo było, co to jest Związek Patriotów Polskich, już wydał dwie gazetki, o których już wspominałam. O wandzie Wasilewskiej. O tym wszystkim już wiedzieliśmy. Z góry wiedziałam, że ja do takiego wojska nie pójdę. Jak dostałam to zawiadomienie, porozmawiałam z lekarką. Dostałam od niej takie zaświadczenie, że mam malarię. No i to pierwszy raz. A drugi raz oni powtórzyli to znówu - wezwanie i przydział chleba, maki coś tam jeszcze na drogę, i kazali zgłosić się w jakimś dniu. Myśmy to wszystko elegancko zjedli, bo był niesamowity głód, a ja miałam zgłosić się koło kantoru - tam przyjeżdżali i odbierali wszystkich. Ponieważ była już zima, czekałam aż wszyscy się dobrze rozlokują i mnie przypadło wsiadać na samym końcu. Powiedziałam, że ja absolutnie nie wsiądę w tym miejscu, bo jestem nie ubrana, w drodze wam zamarzną, mowy nie ma. Wsiądę, jak będzie drugi samochód. To była ciężarówka. Druga ciężarówka nie przyjechała. I tak dwa razy mi się udało z tej armii jakoś wydostać. I nie poszłam. Tak mi się po prostu upiekło.

To była normalna karta powołania, czyli gdybym się nie stawiała, to tak jakbym zdezerterowała. A ponieważ za pierwszym razem miałam zaświadczenie lekarskie - byłam usprawiedliwiona. Drugi raz rzeczywiście mi się udało. Tam taki bałagan powstał, że oni już nie wiedzieli, kogo biorą, a kogo nie biorą. I wydaje mi się, że w tym bałaganie po prostu im zginęłam. Nawet gdyby mnie wzięli, na pewno bym zwała, bo wiedziałam, że w tym wojsku nie będę. Ja się zresztą do wojska nie nadawałam, a po

drugie, takie wojsko to nie to. Chciałam żeby Polska była ale, co to to nie. Pamiętam swoje odczucia, gdy czytałam ten dokument. To była taka...

Ta armia tworzyła się pod dowództwem radzieckim i to dla mnie nie wchodziło w rachubę. Ja w domu byłam tak patriotycznie wychowana, ojciec mój był wojskowym, a jeszcze muszę powiedzieć, że ponieważ byliśmy blisko granicy rosyjskiej to słyszało się wszystko, co dotyczyło komunistów. To jeszcze bardziej nas nastawiało negatywnie. A potem ta zsyłka. To co? Miałam być do nich pozytywnie ustosunkowana? Na pewno nie. Do dzisiaj, prawdę powiedziawszy, nie jestem nastawiona pozytywnie, na pewno do śmierci nie będę. Człowiek już z czasem przebacza wszystko na swój sposób, ale pozytywnie ustosunkowana już nie będę. Macie najlepszy dowód, że osiedliłam się w Poznaniu, żeby nie w pobliżu granicy wschodniej. I gdyby jeszcze raz przyszło jechać na Sybir to wołałabym śmierć. Na pewno wołałabym śmierć, jak jeszcze raz przeżyć to samo, co przeżyłam. A wtedy byłam jeszcze młoda. To było straszne.

Już tam u nas chodziły słuchy niepozytywne o ZPP. Jeśli Wanda Wasilewska była w takiej dobrej komitywie ze Stalinem, to czy można było być do niej pozytywnie ustosunkowanym? Nieraz myślałam, że chce dla Polaków coś dobrego zrobić. Jak dowiedzieliśmy się, że będzie repatriacja, byliśmy z tego zadowoleni, jak najbardziej, ale każdemu kazali udowodnić, że jest Polakiem. Wydali nam przecież paszporty rosyjskie, tzn. dowody osobiste, a teraz kazali każdemu udowodnić, że jest Polakiem. Na całe szczęście miałam legitymację PCK, która mnie uratowała. Ale potem miałam problemy, żeby mojego brata wpisali na moją kartę repatriacyjną; on ze mną tu przyjechał. Oni absolutnie nie chcieli, bo dziecko nie miało się czym wykazać, że jest Polakiem. Tyle było trudności, żeby go wpisali. Wreszcie wpisali, tyle

było radości. A czy to była zasługa Wandy Wasilewskiej, nie wiem, na pewno była to zasługa tych, którzy robili wszystko, żeby Polacy powrócili. Ale dlaczego tak? Przecież tyle ludzi z zesłania było w wojsku, a rodziny pozostawały. Więc choćby dlatego musieli się starać, żeby była jakaś repatriacja. Naturalnie ona była tylko częściowa. Bo żeby tak załatwić, żeby rzeczywiście ludzie musieli się wykazywać, że są Polakami! A ilu tam Polaków zostało, bo nie mogli się czymś wykazać! Przecież jeszcze no pięćdziesiątych latach tutaj przyjeżdżali.

Więc na tyle ~~mnieskim~~ mieliśmy szczęścia, że ja miałam legitymację POK, a mama jakąś metrykę ślubu czy coś podobnego i tym się wykazała. A brata nie miałam czym wykazać, że jest Polakiem. Do czego to było podobne! U nas doskonale wiedzieli, kto jest Polakiem, bo nas stale liczyli, stale nam kazali się meldować, wiedzieli więc, że jesteśmy Polakami. A jak przyszło do wyjazdu, to kazali się wykazać. A jak nie chcieliśmy przyjąć dowodów rosyjskich to powiedzieli, że wyślą nas dalej na północ. To przyjęliśmy, bo nie było wyjścia - co mieliśmy robić, ani tak ani tak. Dowody rosyjskie kazali nam przyjąć już chyba w 1942 roku. I w tym dowodzie wpisane było obywatelstwo rosyjskie. Ja do niedawna miałam jeszcze wpisane, że urodziłam się w ZSRR. Ja wcale się nie urodziłam w Związku Radzieckim, tylko w Polsce. Zrobili z nas od razu Rosjan, nawet się nie pytali nikogo. Kazali wziąć dowody i uparli się. I co nam pozostało pod taką presją. Z naszej grupy dużo Polaków odmówiło przyjęcia tych dowodów, ale po zastanowieniu się i pod taką presją pod jaką nas postawili, że wobec tego jedziemy dalej na północ, to woleliśmy zostać tam gdzie jesteśmy. Baliśmy się, że znowu nas rozłączą. I przyjęliśmy te dowody, wszyscy. Nie było wyjścia.

W roku 1944 przenieśliśmy się do sowchozu, ale też w kusta-
najskim województwie. To było niedaleko, jakieś 200 km. No, tam
są przestrzenie. U nas 200 km to wydaje się daleko, a tam
to nie jest tak. To są wielkie stepy. Przenieśliśmy się dobro-
wolnie. W kółchozie zapanował już taki głód, że myśleliśmy, że
ten jeden posiłek i inny sposób wynagradzania za pracę w sow-
chozie nas uratuje.

Przez cały czas pobytu w kółchozie mieszkaliśmy w ziemian-
kach, sami budowaliśmy sobie ziemianki i mieszkaliśmy po dwie
rodziny polskie. A w sowchozie były już wybudowane baraki. Mie-
szkaliśmy w nich, ale w takim baraku było diabelnie zimno.
Zimno było w ziemiance, ale podwójnie zimno było w baraku. Bo
w takiej ziemiance trochę śnieg okryje, jest jednak cieplej.
A w barakach było bardzo zimno, bardzo. Nie paliło się na ciepło-
pło, bo przecież skąd tyle opału? Robiliśmy to samo co w kół-
chozie, tyle, że tu było inne obliczanie pracy - w rublach.
Ale z rozliczenia w sowchozie wyszło tak, że byliśmy jeszcze
winni pieniądze Związkowi Radzieckiemu. Nie zarobiliśmy nawet
sami na siebie. Tyle, że tam dostawaliśmy jedzenie, jakąś zupę
raz dziennie. Bo sowchoz ma inny system rozliczeń. Jest taka
kuchnia, w której gotują. Inną rzecz co i jak gotują, ale zaw-
sze - jeden posiłek w południe się dostaje. Ten sowchoz był
im. Mokotowa. Fiodorski rejon.

Nie wszyscy Polacy przenieśli się do sowchozu, tylko cała
nasza rodzina. Babcia już nie żyła, ta ciotka nie żyła, wujek
poszedł już do armii gen. Andersa. Była więc nas już tylko
trójka: mama, brat i ja i ten wujek budowniczy. Mieszkał z nami.

Mieszkaliśmy w tym sowchozie 1,5 roku, można więc powiedzieć,
że to już było na samym końcu. Nic się w zasadzie nie zmieniło,
tak samo tajga, wszystko tak samo. Tyle, że tu był sowchoz,

a tam kołchoz. Struktura organizacyjna była inna. Inaczej obliczali nasz zarobek no i ten jeden ciepły posiłek, który nam dawali. Ale praca była ta sama, też na polu i niczym się specjalnie nie różniła.

Później zaczęły krążyć wieście, że wojna się skończyła, że może pojedziemy do domu. Tak człowiek liczył, że może, może... Już troszeczkę nadzieją się żyło. 15 kwietnia 1946 roku tzn. w tym samym dniu, w którym nas wywieźli, zabrali nas z powrotem. Taki zbieg okoliczności.

O zakończeniu wojny dowiedzieliśmy się z fanfarami. Pamiętam jak dziś, że jeździł na koniu Kirgiz i wszystkich nas wołał, żebyśmy się zebrali koło kantoru. Nie wiedzieliśmy, co się dzieje. Wstaliśmy rano, był świt, wyszedł jeden i powiedział, że wojna się skończyła. Więc ja pobiegłam powiedzieć matce i bratu, nogi podę mną się ugiwały, nie mogłam dobiec i im powiedzieć.

- "Mamo, wojna się skończyła! wojna się skończyła!" Ale jeszcze długo czekaliśmy na nasz wyjazd. Tyle, że jakaś iskierta nadziei, że może jakby się człowiek sam starał... Nie mieliśmy nadzieję, że może będzie teraz nieco luźniej, nie tak rygorystycznie, w stosunku do nas.

Jak dowiedzieliśmy się, że będzie repatriacja, radocha była nieprzeciętna. O repatriacji zawiadomiał Związek Patriotów Polskich w styczniu 1946 roku. Mieli już swoich mężów zaufania, byli nas zawiadomic. Przyjechał po nas oficer Żyd oczywiście.

Przeniesli nas do Kustanaja. Zobaczyliśmy pociąg. Po sześciu latach zobaczyliśmy pociąg! Nie wiedziałam, nawet nie wiedziałam, jak mam patrzeć na niego. Z radości. Też byłące wagony, ale wtedy to już nie było ważne. Ledowali nas do tych wagonów. Wchodziliśmy po takich deskach; deski były postawione i wszyscy wchodzili. Ale jeszcze nim weszliśmy to ten oficer - myśmy

wszyscy płakaliśmy, płakaliśmy z radości i żalu, z wszystkiego płakaliśmy - i ten oficer powiedział, że tak nasze świadczą, jak ciężko nam rozstawać się z tym krajem. Rzeczywiście było nam bardzo ciężko! No więc rozstaliśmy się ze żkami - żkami radości i żalu - bo pozostawialiśmy tam tyłu swoich.

Z Kustanaja z naszej rodziny jechało 5 osób. W wagonie wyjechało nas razem 40 osób. Z naszego sowchozu jechało nas chyba 10 osób. Transport miał chyba z 60 wagonów. Tak jak jechaliśmy w tamtą stronę, tak samo wracaliśmy. Takie same wagony, tylko teraz wszystko było otwarte i to my musieliśmy pilnować transportu, a nie oni nas. Im już nie zależało.

Przyjechaliśmy do Ufy, transport zatrzymał się, prędko kapaliśmy za wiadra i biegliśmy po gorącą wodę. W południe nieraz dostawaliśmy posiłek, ale teraz chodziło tylko o gorącą wodę. Ponieważ byłam jedną z najmłodszych, wyskoczyłam, chwyciłam wiadro i choć zwykle taki transport długo stał, w Ufie jak na złość nie zasignalizował i ruszył. Szłam już z powrotem z wodą, jak się zorientowałam, wylałam wodę, na drugim torze jechał pociąg w przeciwną stronę, zatarasował mi drogę. A ja nic przy sobie nie miałam, ani dowodu, ani karty repatriacyjnej. Na całe szczęście tamten transport był krótszy od naszego i udało mi się dopaść do ostatniego naszego wagonu. Siedziałam na bufor. Do dziś nie mogę zrozumieć, jak to zrobiłam. Jechałam na buforze ponad 200 km. Ludzie, którzy mnie tam widzieli, pracujący na polach, żegnali się, jak ja się tam trzymam. A ja trzymałam też wiadro. Wiadro było bardzo ważne. Mama była zrozpaczona. Myśleli, że zostałam. Jak się pociąg zatrzymał jeszcze nie zdężyłam rzyknąć do nich dolecieć, tylko do pierwszego lepszego wagonu, żeby do środka wejść. Potem jechaliśmy jeszcze bardzo długo, zanim dotarłam do swoich. Jak mnie zobaczyli, to myśle-

li, że się drugi raz urodziłam. Radości było tyle.

Z Ufy jechaliśmy gdzieś aż nad Wołgą, koło Stalingradu, teraz to wię Wołgograd nazywa. Potem jechaliśmy na Moskwę, z Moskwy na Kijów i z Kijowa znowu w kierunku Moskwy. Znowu nas jakoś dziwnie wozili. Jak wyjechaliśmy 15 kwietnia, tutaj byliśmy dopiero 2 czerwca. Przez ten cały czas jeździliśmy po Rosji. Z Kijowa nas wieźli na Brześć, przez Mińsk. A nam się tak spieszyło, żeby dojechać.

Jedzenie dostawaliśmy co drugi dzień, czasami i przez dwa dni nie. Dostawaliśmy chleb i kipyatok, czasami dostawaliśmy posiłki gorące, najczęściej zupę. Na jednej stacji wieczorem dali nam makaron posmarowany tranem. Mimo wielkiego głodu nikt nie mógł tego zjeść. Nawet nie pamiętam, kiedy jadłam, kiedy nie jadłam, bo ta nadzieja, żeby tylko do kraju się dostać. A jeszcze w międzyczasie dostaliśmy jakieś unrowskie puszki.

Doczepili do nas wagony z wracającymi do Polski Żydami. Też mieli wagony towarowe, ale z pryzami. Było to już w części europejskiej. Dostawali normalny przydział unrowski, a my nie. I na jakiejś stacji dali im i nam. I co się okazało - mleko było zepsute, zważzone, przeterminowane. A oni jeszcze dostawali puszki z rybami i inne. I w związku z tym wytworzyła się w transporcie taka nienawiść w stosunku do tych Żydów, ale taka nienawiść, że po prostu, głód też potęgował tę nienawiść, że jak tylko przejechaliśmy Brześć, na stronę Polską to Polacy z transportu urządzili samosąd Żydom, że przechodzi pojęcie. Na pierwszej polskiej stacji. Pociąg zatrzymał się zaraz za mostem na Bugu. Koło pociągu leżały kamienie brukowe, przygotowane widocznie do wykładania kostką bruku. Tymi kamieniami wylili w wagony żydowskie. Po prostu działa się rzeź. Potem przysłała milicja, wojsko i uspokoili wszystkich.

Więc pierwsze co nasi z transportu zrobili, to taki samosąd na Żydach. Do tego stopnia, że kto miał obrazek Matki Boskiej, to wieształ na zewnątrz, żeby przy okazji nie dostać, kamieniami rzucali i kobiety, i mężczyźni. Doczepili tych Żydów jakieś 10 wagonów, a naszych było około 60. Było dużo dzieci, bo Żydzi całymi rodzinami jechali. Ta masakra strasznie mną wstrząsnęła. Tak strasznie Polacy byli na Żydów napaleni.

Swoją drogą, przecież Żydzi właśnie spowodowali wywiezienie nas na Sybir. Teraz oni też z Sybiru jechali, a człowiek jako katolik nie może tak. A ludzie byli tak na nich rozwiezieni. Ci Żydzi to byli komuniści, którzy sami dobrowolnie tam jechali, nie byli przymusowo wywiezieni. Może niektórzy byli wywiezieni, ale wątpię. Oni bali się Niemców i jak Niemcy przyszli to oni uciekali z Rosjanami. Wiedzieli, co ich czeka pod niemiecką okupacją. Wiedzieli, jaki antysemityzm tam jest. Oni w Rosji też nie mieli tak dobrze, ale Żydzi trzymali się gdzieś blisko miast, zawsze jakoś... I oni trzymali się bardziej strony europejskiej, a nie europejskiej to południowej części, Kazakstanu przypuszcmy i tam zawsze sobie jakoś radzili. Zresztą oni byli tam na innych warunkach niż my. Mogli po Rosji jeździć, więc jakoś sobie życie układali. Mieli nieporównanie lepiej od nas.

Na tej stacji zaczęło się od razu, spontanicznie. Nasza ludźmi twierdziła, że to właśnie Żydzi na Sybir ich wydali, więc był samosąd. Gdyby nie Milicja i wojsko, które tam przyszło, nie wiem, jakby się to skończyło.

Jak przyjechaliśmy do Brześcia nad Bugiem zobaczyliśmy kościół ciół. Przecież to były kiedyś tereny polskie. Dotarliśmy do tego kościoła, wtedy jeszcze czynny. A jak przejechaliśmy bug - wiedzieliśmy, że to już jest Polska - to wszyscy jak jeden mąż płakali. To był straszny płacz. Taka była radość.

Przywitanie w Poznaniu było okropne. Tutaj w Poznaniu ludzie nie mieli styczności ze zesańcami. Przyjeżdżali z różnych okolicznych wiosek i miasteczek i szukali siły roboczej do pracy. Nas to strasznie ubodło, bo oni sobie nie zdawali sprawy, z jakich warunków, skąd my jedziemy. Czekali tylko na siłę roboczą. Zobaczyli, że nędza przyjechała, to tylko ich do roboty. I nic więcej. Nikt nas tutaj nie witał, tylko do roboty. Pewno, że każdy z nas myślał o pracy, ale jakoś trzeba było się najpierw zaadaptować. ~~Myśmy~~ Zobaczyliśmy, jak ludzie chodzą tu ubrani, a my w tych łachmanach, niesamowicie zawazeni. Poznaniacy się od nas odsuwali, zresztą nic dziwnego. I zaraz do pracy na pole. A my z pola właśnie wracaliśmy i chcieliśmy się jakoś po ludzku ogarnąć,

Tu w Poznaniu ludzie nie zdawali sobie sprawy, co się tam działo. Rozmawiałam z swoimi kuzynami, którzy przeszli wojnę tutaj i przecież też różnie było. Ja wiem, że tutaj tak samo było strasznie, ale oni sobie nie zdawali sprawy z naszych przejść - co przeżyliśmy i jak. A przeżyliśmy i Niemców, i Rosjan, i pszykłę.

W Poznaniu nie wolno nam było się zatrzymać, bo Poznań nie przyjmował repatriantów. Przez Poznań przejeżdżały wszystkie transporty repatriantów, które jechały na Szczecin. Tutaj nie wolno nam się było meldować, chyba że miało się rodzinę i ta rodzina wyrażała zgodę. Mieszkań nie było. Poznań był zniszczony. Miało wtenczas 270.000 mieszkańców a budynki były zupełnie zniszczone. Nie było gdzie lokować repatriantów. Ojciec miał tutaj bratową, która wyraziła zgodę na mój meldunek. Ale nie mogłam u niej mieszkać, nie miała warunków. Poszłam do wojewody, powiedziałam jak jest. Przede wszystkim musiałam się ubrać, w tym co miałam nie mogłam się po prostu pokazać. Dostałam unrg,

jakoś się przyodziana. Potem musiałam ukończyć swoją edukację i pracować.

Brat i reszta rodziny zatrzymali się w Stargardzie. Mama zaczęła tam pracować jako kierowniczką Domu Dziecka.

Ja przez trzy miesiące mieszkałam na dworcu, tam był PUR. Tam się myłam, przyjechałam strasznie zawszawiona, to było moje najgorsze zmartwienie. Miałam bardzo gęste włosy, to był olbrzymi problem.

Tam na dworcu był taki barak, w tym baraku przesiadywałam noc, rano szłam do ubikacji i myłam się, i szłam do pracy.

Dlaczego zatrzymałam się tutaj. Wierzyłam, że ojciec się odeswie, bo miał tu rodzinę. Ojciec zaczął przysyłać nam tutaj paczki, ale ja nadal nie miałam mieszkania. Paczki dostawałam w biurze, miałam tam szafę, w której wszystko składałam. Przez trzy miesiące w PUR-ze się myłam, w PUR-ze jadłam, przykucałam i spałam.

Kiedyś idąc ulicą Armii Czerwonej na przystanku spotkałam kuzynkę z mężem. On był prokuratorem wojskowym - dostał wille po Rosjanach na Ostrołęga. Zaproponowali, żebym z nimi zamieszkała. "Są cztery pokoje, jeden pokój dostaniesz ty" - powiedzieli. Ściągnęłam matkę, potem ojciec przyjechał i mieszkaliśmy z nimi ponad 50 lat. Potem tutaj dostałam mieszkanie.

Jak przyjechałam tutaj, znalazłam ojca. Napisałam do Aleksandrii i tam Czerwony Krzyż znalazł ojca, był już wtedy w Anglii. Nawiazaliśmy kontakt. Bardzo chciał wrócić do kraju. To była wielka radość. Przyjechał tutaj, do Poznania. Ojciec też został w Poznaniu. Przez dwa lata musiał się meldować na Kochanowskiego./Komenda Wojewódzka Urzędu Bezpieczeństwa i Milicji Obywatelskiej/. Nie dostał pracy. Ja pracowałam. Mama pracowała. Później mama ciężko się rozchorowała, reszta już stamtąd przy-

jechała chore. Przez dwa lata ojciec nie dostał pracy. W Anglii przyznano mu już w armii emeryturę wojskową, ale jak przyjechał do kraju, musiał się wszystkiego zrzec. Tutaj w kraju nie dali mu nic. Później pracował i musiał wypracować sobie emeryturę na nowo. 36 lat pracy bez przerwy służył w wojsku. Anglicy mu tę służbę uznali i dali emeryturę. Polska nie. W 1947 roku, gdy wrócił ojciec miał już 54 lata. Dwa lata później, gdy już mu pozwolono, podjął pracę i pracował do 85 roku życia. Zmarł mając 93 lata. Za czasów Gierka, gdy miał lat 80, przyznano mu rentę wojskową. Pozwolono wtedy na rentę dla tych, którzy wrócili z Zachodu.

Ja ze strony władz polskich nie miałam trudności. Ale nasza rodzina jednak nie miała szczęścia - ja nie miałam się czego chwalić, że byłam na Syberii, a ojciec wrócił z Angli, to tym bardziej. Byliśmy więc wyjątkowo przegrani w Polsce Ludowej. I ojciec, i my. Pracowaliśmy cały czas, dawaliśmy sobie radę. Ani ZBOWiD, ani nikt nas nie rozpieszczał.

Jak ojciec za Gierka miał dostać wojskową emeryturę, to trzeba było udowodnić, że tyle lat był w wojsku.

Mój kuzyn był prokuratorem wojskowym i on za ojca poręczył. Mam nawet takie zaświadczenie, że bierze całą odpowiedzialność za ojca na siebie. Jeszcze jeden prokurator wojskowy, takie poręczenie podpisał. I to się załatwiało przez ZBOWiD. Ojciec bardzo daleko nie chciał, absolutnie, ale nie było wyjścia. Tylko przez ZBOWiD mógł dostać tę rentę. Był bardzo tym rozgoryczony. Do samej śmierci był bardzo na ZBOWiD rozgoryczony. Tyle lat nie uznawali, aż w końcu... Ja te wszystkie rzeczy załatwiam, a on bardzo był niezadowolony. Zawsze mówił: - "Ja już teraz nie chcę, teraz, jak mam 80 lat już nie potrzebuję. Jak mam urząd, to mają mi uznać, że o Polskę walczyłem?" Rzeczywiście przykro

mu było. Przecież wrócił z Hallerem po pierwszej wojnie do kraju, tutaj walczył, cały czas w służbie czynnej, przeszedł wszystkie trudności na bliskim wschodzie. I nie uznali. Mógł więc żal. Ale żył do 93 lat. Trzydzieści lat korzystał z tej emerytury. Nam się nie przelewało, matka 25 lat była chora i prawie stale leżała w gipsie. Mieliśmy trudne warunki.

A my nawet głośno mówić nie mogliśmy. Jak była taka wielka miłość między ZSRR a nami to nie mogłam mówić, że mnie tam było źle. Nawet nie odważyłabym się tak mówić, bo po co.

Ja bardzo niechętnie wspominałam tamte czasy, co najwyżej wśród rodziny. Czasem też w pracy. Ale raczej niechętnie się wracało do tych wspomnień. Chciało by się o tym nie pamiętać, ale zapomnieć też nie można. To i tak w człowieku tkwi.

Najpiękniejsze lata - od szesnastego roku życia do dwudziestego drugiego - spędziłam na Syberii. Nie można o tym zapomnieć.

I brat, i ja wszystko to przekazaliśmy naszym dzieciom ku pamięci. Żeby wiedzieli jak to było. Wiedzieli, jaki mamy stosunek do ustroju.

Ja swojego brata nauczyłam czytać z książki do nabożeństwa. Mieliśmy też tam jedną książkę: "W pustyni i w puszczy" Na tej książce też go uczyłam. Co mogłam mu dać z siebie swojej wiedzy, to mu dałam. I jak wróciliśmy, wszyscy się dziwili, że on tak pięknie mówi po polsku. Bardzo x często takie dzieci wracające z zesłania tworzyły makaronizmy, takie słowa ruskie i polskie. A on pięknie mówił po polsku. Wbijałam mu w głowę całą Polskę - gdzie, co i jak jest. Żeby wiedział, żeby, gdyby się zgubił, gdyby nas rozdzielili, żeby wiedział, gdzie ma wracać i gdzie jest jego ojczyzna. Gdzie się ma obracać w Polsce. On przecież gdy na Sybir pojechał miał 6 lat, więc trzeba mu było dobrze do głowy nałożyć, żeby wiedział, że jest Polakiem. Żeby nie zginał

kiedys, żeby tam nie został, żeby starał się do kraju wrócić. Jak mi się to przydarzyło w Ufie, to potem zaszyłam sobie swój dowód w sukienkę i jak wychodziłam, to brata za rękę, bo on był na tym dowodzie. Tam dają ci dowód rosyjski - jesteś człowiekiem rosyjskim i koniec. Tam przecież się nie petyczkują. Później go bardzo pilnowałam, gdziekolwiek wychodziłam, nawet w nocy go budziłam i za rękę. Szedł ze mną. Nigdzie go nie zostawiałam. Jeżeli zostalibyśmy, to we dwójkę, a ja byłam pewna, że zawsze wrócę.

Teraz z perspektywy czasu stwierdzam, że człowiek zrobił się tam bardzo samodzielny, odporny na wiele rzeczy. Nie trądzę, jak czegoś nie mam i dają sobie radę w różnych sytuacjach. Zawsze człowiek znajdzie jakieś wyjście. To była taka twarda szkoła życia, bardzo twarda. Wnie było bardzo trudno wrócić do szkoły, do studiów, do nauki. Dużo zapominałam, musiałam prawie od nowa sobie wszystko przypominać. A uczyłam się pracując cały czas i tworząc dom od igielki. Bardzo pomógł mi ojciec przez ten rok zanim wrócił do kraju. Przesyłał nam ponad trzysta paczek. Troszkę nas podreperował, niemniej każdy nowy mebelek, każdy nowy drobiazg musiał być przez nas wypracowany, bo nie mieliśmy dostawnie nic. Przyjechaliśmy tu tak jak staliśmy.

To była bardzo twarda szkoła życia, ale przydała się. Nie przywiązuję teraz wagi do niczego, tzn. chcę mieć, bo muszę mieć, ale żeby do tego przywiązywała wagę, to nie. Raz już straciliśmy w jednym dniu dosłownie wszystko i to zmienia człowieka.

Niech się dzieje najgorsze, tylko żeby nie było wojny. Niech się przewracamy na wszystkie strony, niech się zmieniają rządy, ale żeby już nie było wojny. Ten, który wojnę przeżył, zdaje sobie sprawę co to jest. A ja, jak tutaj przyjechałam, w latach

czterdziestych, tak często słyszałam, że ludzie czekają jeszcze na jakąś wojnę. Ludzie kochani, czy wam już nie wystarczyła ta jedna wojna? A wciąż słyszałam, że coś się jeszcze będzie działo. Na Ziemiach Zachodnich, gdzie mama się zatrzymała, repatrianci wszystko jeszcze mieli zapakowane w kufrech, nie rozpakowywali się, bo będzie wojna. I stale mówiłam, jakiej oni wojny chcą. I do dzisiaj mówię, wszystko, ale nie wojna. W Polsce nigdy nie będzie głodu. Głód jest tam, gdzie nie ma lasów, gdzie nie ma ziemiopłodów. Tu nigdy nie będzie głodu. Może będzie mniej, ale nie będzie głodu. Nie będzie śle, bo człowiek sobie zawsze tutaj da radę. Tylko żeby chciał pracować. Zawsze się znajdzie jakiś pomysł, żeby jakoś z tego wyjść.

Nie zostało to wszystko bez echa, odbiło się na moim zdrowiu, na zdrowiu mojej matki. Bardzo, bardzo. Taka tam była wielka awitaminoza, że potworzyły jej się rany. A ja kupiłam jej walonki, bo w butach nie mogła chodzić. I ona z tymi ranami nogi wkładała w te walonki czymś się zarazika. Stale miała pełno ropy w organizmie i lekarze nie mogli stwierdzić przyczyny. Na końcu mówili, że to jakiś wirus, który tworzył u niej wiecznie bardzo dużo ropy, robiły się przetoki i wychodziło to z niej na zewnątrz. Udawano się to zalecać, a chora była wiecznie, 25 lat chorowała. Miała 77 lat jak zmarła. Ja mam reumatyzm nie mogłam i nie mogę go do dzisiaj wyleczyć. To nie jest do wyleczenia. Ale z wiekiem to się jeszcze bardziej pogłębia.

Z bardzo mieszanymi uczuciami zobaczyłam wojska radzieckie w Poznaniu. Nie zdawałam sobie wtenczas sprawy, że te wojska będą u nas stacjonować. A jeszcze mieszkałam na Ostroroga, gdzie był cały sztab, generalicja rosyjska i z jednej strony zachwycona, że jestem w Polsce, ale widząc /teraz się tego tak nie widzi, ale wtedy widział się częściej/ wojska na mieście,

bardzo mnie to gnębiło. Że nie jesteśmy Polską, która się wyswobodziła spod jarzma rosyjskiego. Jak tu przyjechałam, to sobie wyobrażałam, że ich tutaj nie będzie. Że będzie polskie wojsko. A jak potem dowiedziałam się, że tutaj są Rosjanie, to mimo że byłam cała w skowronkach że jestem tu, to przygasłam. Nigdy nie byłam zachwycona ustrojem, byłam zachwycona, że jestem w Polsce. Ojciec wiedział doskonale, jak tu jest, nie jechał w ciemno. Zdawał sobie sprawę. Natomiast my jechaliśmy w ciemno, nie wiedzieliśmy nic. Dopiero jak tu przyjechaliśmy byłam rozczarowana, że tak jest. I cały czas ubolewam nad tym, że nie jesteśmy wyswobodzeni, spod ich opieki. Teraz jesteśmy trochę w skowronkach, pełni nadziei i dla naszych przyszłych pokoleń. Oby tylko nie było wojny.

Zawsze byłam tak bardzo przeciw wojnie, bo strasznie się bałam, żeby nie wywozili na Sybir. A przecież jeszcze w latach pięćdziesiątych to robili. I ja o tym wiedziałam. I stale się bałam. W dowodzie osobistym napisali mi, że jestem urodzona w ZSRR. Zawsze się bałam, że kiedyś się odezwą i powiedzą, że zabieramy naszych. To podświadomie cały czas w nas było. A jak w latach pięćdziesiątych dowiedziałam się, że wywożą, to strasznie to przeżyłam.

Ja panicznie boję się Sybiru. Niczego się w życiu nie boję, a Sybiru boję się panicznie. I potem jak już był sxxx nasz stan wojenny, gdzieś ktoś, chyba Urban, powiedział o banicji, wtenczas myślałam, że mi serce pęknie. Wtedy powiedziałam, czy my już nigdy nie pozbędziemy się tej groźby, to jest chyba nasza ziemia obiecana. Będąc dzieckiem, 11 listopada podczas uroczystości zawsze brałam udział w przedstawieniach, w żywych obrazach, gdzie matka wracała z Sybiru, i dzieci, i ten Sybir mnie prześladował. Chyba do śmierci mnie już będzie prześladował.

I cały czas przysglądałam się polityce i wstuchuję się tylko -
Matko Boska, żeby tylko ludzi nie wywozili na Sybir. Bo ja wiem,
że jak tam ktoś pojedzie to zginie. To są ogromne przestrzenie,
gdzie wszyscy mogą zginąć. Jakby cała Polska tam wyjechała,
to by się nikt nie znalazł. To są tereny, które przyjąłby
całą Europę, tam tyle jest miejsca.

Nigdy się do partii nie zapisywałam, mowy nie było. Ani brat.
Jak bratanek poszedł do wojska, to mu mówiłam: - "Niech cię
Matka Boska broni, żebyś ty tylko się do partii nie zapisał.
Bezpartyjni też żyją." Tak sobie myślałam - nie poprę tych,
którzy nam tak wielką krzywdę zrobili. Człowiek musi mieć jakieś
zasady. Może dla tych, którzy tego nie przeszli, jest wszystko
jedno, ale ja powiedziałam, że bezpartyjni powinni też dobrze
pracować i być uczciwymi pracownikami i też Polska będzie z
nich zadowolona i też będzie dobrze.

*Nagrata i opracowała
Barbara Fabiańska
listopad 1989*

jakoś sobie radzili. Zresztą oni na innych warunkach tam byli, jak my. Mogli po Rosji jeździć, więc zawsze jakoś układali sobie życie. Na pewno też pracowali. Nie rozmawiałam z nimi, co robili, ale czytałam kilka książek pisanych przez tych Żydów - "raz, dwa, tri wzięli", też nie miał cudownie, ale w porównaniu do nas?

O tym co się tutaj działo z Żydami nie wiedzieliśmy nic.

To było spontaniczne, od razu. Wszastkie porachunki, czy byli winni, czy nie. Porachunki. Masa ludzi twierdziła, że Żydzi ich na ten Sybir wydali po prostu. Nie ci co jechali z nami, ale w ogóle Żydzi. Więc samosąd był taki, że gdyby nie milicja i wojsko, nie wiem, co by się stało.

Punkty przydziału żywności były inne dla Polaków i inne dla Żydów. Inne też były przydziały jedzenia. Gdyby nie te różnice w podziałach, myślę, że nie byłoby incydentu. Jechali osobno. Mieli ekstra przydziały. Żydzi poza tym się izolowali. Nie mieliśmy z nimi kontaktu - bali się oddalać od wagonów, by nie zostać. Nie było możliwości kontaktu. Wagony były wysokie, trudno było wejść. Jedyne kontakty z Żydami mieliśmy przy rozdziale żywności, ale wtedy też stali osobno, osobno dostawali przydziały. Byliśmy strasznie wściekli, że wracają do Polski. Tak kochali Rosję, dlaczego tam nie zostają?

Nie wiedzieliśmy jak długo będziemy stali. Polacy i Żydzi wyszli po swoje paczki. Wtedy się zaczęło. Żydzi pozamykali się w wagonach. Kamienie przez kraty wpadały do środka. Wcisnęłam się w kąt, żeby nie mieć z tym nic wspólnego. Najwięcej zrobili ci z sąsiednich wagonów. Szykowali się od dawna. Słyszało się, że Żydzi są lepiej traktowani. Zanim przyszło wojsko minęło 2, 2,5 godziny. Wojsko nie było brutalne. Jak przyszło, ludzie odskoczyli, bo bali się że cofną do Rosji. Rozproszenie trwało krótko, jeden drugiego ciągnął, bali się spisywać, aresztować. To musiało być około 28 maja 1946 roku. (...). (Okupacja radziecka.) Żydzi nie kryli się z sympatią dla władzy radzieckiej. Nosili czerwone kokardki, opaski. Przed wojną u nas

babci przed wojną mieszkała Żydówka. Ktoś przychodził, ktoś wychodził, dowiedziała się, że to komuniści. Musiała im wypowiedzieć. Mieli przed wojną komunistyczną organizację. Po wybuchu wojny zaczęły się pogroźki, liczyli, że przyjdą inne czasy. Rosjanom dawali adresy. Dochodziliśmy do tego kto mógł spowodować odnalezienie rodziny czy aresztowanie. O Ukraińcach tego nie mogę powiedzieć. Wszyscy mówili, że była to żydowska robota.

Był w Drohobyczu szewc, Dische, który szył buty wojskowym. Po wejściu Rosjan wielokrotnie odwiedzał rodziny wojskowych i wszystkie te rodziny zostały wywiezione. Do nas też przychodził. Babci się odgrażał. Był wujek, któremu ten szewc nie szył butów - nie został wywieziony. Inni Żydzi chodzili do innych domów i tamci też byli wywożeni. Udzielali wszystkich danych, jakich Rosjanie potrzebowali.

Nie miałam uprzedzenia do Żydów. Wspólnie się przecież wychowywaliśmy. Nie było konfliktów. W święta przynosili prezenciki ze sklepików. Chodziliśmy razem do szkoły, ~~wxx~~ przed lekcjami religii Żydówki wychodziły i było to tak normalne. Żyliśmy razem.

ambusety

w Samborze. Potem został wywieziony do Kozieleiska. Wiem że był w Kozieleisku. On z Kozieleiska wywieziony był gdzieś na północ i z tamąd dostał się potem, bo chciał pewno przejść, tam jak organizowała się ta armia gen. Andersa był na południu i tam zachorował na tyfus w tym obozie i tam zmarł. O nim, że on tam zmarł wiem.

Do więzienia w Samborze chodziliśmy z paczkami, wiedzieliśmy, że nie ma tam mojego ojca, ale kto był nie wiem. Moje koleżanki szukały tam swoich braci, i ojców, Ale kto to był to nawet nie pamiętam. Moja kuzynka, która była jeszcze gdy nas wywiezili, to pamięta nawet nazwiska, wszystko pamięta. A ja nie bo wyjechałam i na tym się wszystko zakończyło. Opowiadała mi moja kuzynka że ze Sambora,

więzieni - Samborze

że jak Niemcy w 1941 roku przyszli Niemcy, to w tym więzieniu w którym siedział właśnie jej ojciec, ~~ja~~ i moja matka też siedziała przedtem, to pozostawili tak strasznie dużo trupów, nie wywożąc tylko tam zostawili, naturalnie następował rozkład tych zwłok i tam wyszukiwali swoich, ale to było tak, że jeden na drugim tam leżał, Tam się działo coś okropnego. Tak ona opowiadała mi i ona była świadkiem tego wszystkiego, bo tam chodzili ludzie i swoich odszukiwali. Oni w tym więzieniu zostawili trupa na trupie leżały bo oni nie chowali, tylko tak kładli. Ona też nazywa się Oleksjuk Jadwiga, i ona w tej chwili mieszka w Łodzi. Ona przeżyła całą okupację w Samborze.

Ta kuzynka, którą ja spotykałam w Poznaniu, to ona też cały czas była w Samborze, i potem w Rzeszowskie się przenieśli. Ale prawie całą wojnę była w Samborze. To była Szablowska z domu Siefert Elżbieta, a Ona jest tutaj jeszcze żyje. Mieszka tu w Poznaniu. Z nią mieszałam 30 lat. Prawie 40 lat przeżyliśmy razem na Ostro-
bo potem ojciec jeszcze został
roga.

Powiem coś o tych osobach na zdjęciu, bo tutaj jest cała moja rodzina, o Moja mama Wecela Janina z domu Witecha. Mama miała 38 lat jak wybuchła wojna, Polka urodzona w Drohobyczu, Matka miała średnie wykształcenie, najpierw pracowała, w biurze wojskowej potem

wyszła za mąż i nie pracowała, była zawsze w domu. Przed wywiezieniem
mieszkaliśmy w Samborze, ale przed samym wywiezieniem mieszkaliśmy
w Drohobyczu. I z Drohobycza nas zabrali, ale mama wyjechała
do Sambora do tej siostry jak mówią, bo tego szwagra aresztowali
ona wyjechała tam, a nas w międzyczasie zabrali. I potem ją areszt-
towali, i ona siedziała w Samborze w więzieniu, a potem została
wywieziona do Asybin. Wł. Mieszkaliśmy w Samborze na ul. Nowej
13. Po powrocie mama osiedliła się w Stargardzie Szczecińskim,
a potem w 1947 roku ściągnęłam ją do Poznania i mieszkaliśmy tu.
Zmarła w 1977 roku w Poznaniu. Potem jestem ja, No to ja mieszkam
z rodzicami. Mój brat, który miał wtedy 7-ny rok życia, to był
razem ze mną wywieziony na Sybir. Urodził się w Samborze, no i
ze mną razem został wywieziony na Sybir. Brat osiedlił się z mamą
w Stargardzie Szcz., ale tam był parę miesięcy i ja go ściągnęłam do
Poznania. I cały czas był w Poznaniu, w tej chwili mieszka w Star-
gardzie Szcz. ożenił się i ma syna.

Witecha- ~~Kubów~~ ^{Kubów} ~~Neria~~ Neria, to była moja babcia która razem z nami była
wywieziona. Nie miała jechać na Sybir ale zabrali nas wszystkich
i ją tak samo. Z domu Sachert ur. w Drohobyczu. Gdy nas zabierali
to miała 58 lat. Mieszkała w Drohobyczu. Cały czas była z nami i
zmarła na Sybirze. Zmarła w 1942 r. W 1942 roku zmarła też siostra
mamy, Witecha Stanisława, panna lat 40 w ten czas miała. Została
zamordowana, przez Kirgizów. Została uduszona, w tym aule kirgizkin.
Ona też mieszkała w Drohobyczu razem z matką i razem została z nami
wywieziona.

Kubów Zenon też przypadkowo dostał się na Sybir, to jest mamy brat
To był przyrodni brat, Jego żona Kubów Olga z domu Borecka, miesz-
kali też w Drohobyczu w tym samym ~~xxxxxxx~~ budynku co my, ponieważ
nas zabierali to zabrali ich też. Pracował na POLMINIE z zawodu był
nie wiem jaki on miał zawód. On miał w ten czas 29 lat. I tam właśnie
w czasie wybuchu wojny ożenił się z Olgą, z d. Borecka, ona właści-
wie była ukraińką, ten. matka była Ukrainką a ojciec Polak, ale
było tak, że chłopcy byli Polacy a ona była ukraińką. Mieszkali też

w Drohobyczu, Ona mieszkała w dzielnicach ~~xxxxx~~ Młyn, Młyn i Koło to były takie dzielnice Drohobycza. Ale po ślubie mieszkała razem z nami. A zabrali wszystkich, kto był. Kubów Zenon, jak organizowała się armia gen. Andersa, to on dostał się do Anglii. Najpierw do Iranu i z tamąd na Bliski Wschód i był w Anglii. Nie wrócił już do Polski. Ona natomiast urodziła tam dziecko Ireneusza, i w 1943 roku dostała się na Ukrainę, ponieważ była ukraińką więc ale nie do Drohobycza tylko gdzieś koło Kijowa. Tam potem wyszła ze mężem za jakiegoś ukraińca, potem dostała się do Drohobycza i do dzisiaj mieszka w tym Drohobyczu. A ten Ireneusz, który się urodził na Syberii mieszka w tym domu z którego nas zabrali. Jemu po prostu przydzielili ten dom, jako jedyny spadkobierca on dostał ten dom i tam mieszka w tej chwili. Ponieważ mam uprzedzenie do Ukraińców ja z nim kontaktu wogóle nie mam, ale on do mojego brata pisze, nawet tutaj byli tutaj w Polsce. Ten Irek poczuwa się bardzo, wprowadził one na obywatelstwo ukraińskie, ale on występuje jako Polak, i szczyści się tym że jest Polakiem. A ojciec jego Zenon zmarł już. Już nie żyje. Potem jest Kawecka Anna: to była siostra mojej babci. To już z innego domu ale też z Drohobycza, zabrana, z tej samej ulicy. Potem Kawecki Eugeniusz: to syn tej Kaweckiej Anny, drugi raz zesłaniec Sybiru, był cały czas z nami i z nami wrócił do Polski. To był ten wujek budowniczy. To on wybudował tą szkołę tam. On był projektantem tej szkoły i myśmy ją wybudowali. Tu się osiedlił w Bolesławcu, i jeszcze odbudowywał Warszawę nawet jak myśmy tutaj przyjechali. Zmarł w Bolesławcu. Kawecka Eugenia to była jego żona, która zmarła na Sybirze, w 1941 na puchlinę, w wieku jakiegoś 50-ciu lat. Kawecki Stanisław ich syn, mógł mieć 26, 27 lat. Też dostał się do armii gen Andersa. Później był w Iranie, później na Bliskim Wschodzie i był w Anglii, cały czas był w Anglii.

3/2 Oni cały czas mieszkali w Drohobyczu, to myśmy tam tylko przejechali.

A teraz z tego zdjęcia po kolei:

Autorka

Chlebek Anna: te mieszkali w Drohobyczu jej mąż pracował w więzien-
nictwie, na Brygilkach nie wiem w jakiej randze on był, w każdym
bardzo razie został aresztowany, i ich wywieźli. Ją, dwóch synów i córka
też wywieźli, trójka ich była a ona czwarta. Jej męża roszanie wy-
wieźli ale ona nie wiedziała gdzie go wywieźli. Jego wywieźli i ją
też wywieźli. Będąc na Sybirze one absolutnie nie wiedzieli gdzie
jest ich ojciec.

Chlebek Jerzy to jej syn, a iak w ten czas 18 lat,

Chlebek Eryk miał 25 lata,

Chlebek Magdalena miała w ten czas 16 lat, była cówieśniczka moja.

Jerzy i Eryk dostali się do armii gen. Andersa i na Bliski Wschód,
z armią, a Pani Chlebek Anna zmarła tam w 1942 r. Została ta Magdalena
która z nami wróciła, wróciła sama jedna do Polski. Ona została w
tym Kołchozie, nie była z nami w sowchozie.

Kicińska Aniela i, była z synem i córką, Kicińska Aniela też zmarła
na Sybirze, a Kiciński Franciszek i Kicińska Krystyna oni dostali
się też z armią gen. Andersa na Bliski Wschód. Byli cały czas za
granica.

Gwiazdowski i Piotrkowski, to byli zesłańcy po raz drugi Sybiru,
to ci co postanowili wrócić, ale nie wiem skąd oni pochodzili.

Oni byli ze wsi ale z województwa Lwowskiego. Udało im się, bo przysze-
szedł list, ktoś tam dostał jakim cudem nie wiem, że oni zmarli.
Jeden po drugiego tam zmarli. Niedługo żyli po powrocie do Drohobycza
do Lwowa przepuszczam, i tam zmarli.

Smyk Maria: przyjechała z województwa lwowskiego, też z jakiejs
wsi. Był to bardzo pociwy człowiek, lat jakieś 46, bardzo po-
magała wszystkim ludziom. Była troszeczkę jak lekarz, taki felczer
można powiedzieć. I ona z nami wróciła tutaj do kraju, osiedliła
się gdzieś na Dolnym Śląsku. Tam był też jej mąż Franciszek, który
też poszedł z armią gen. Andersa, był w Anglii i wrócił. Wrócił
nawet z moim ojcem razem. ⁴⁷ Oni wszyscy byli w kołchozie.

Potem przyszedł Smyk Jan brat tego Franciszka, ale on był gdzieś
na dalekiej północy. Przyszedł do nas jak otworzyli te łagry,

gwiazdowski

Romana Kasprzak z domu Becela

(...) (Powrót do Polski maj 1946 r.)

Do naszego transportu doczepili wagony z Żydami. Też towarowe, ale z pryzami. Już po stronie europejskiej. Oni dostawali normalny przydział UNR-owski. Nam nie dawali, im dawali. I na jakiejś stacji dali im i nam. Okazało się, że dostaliśmy popsute mleko, przeterminowane. ~~Oni dostawali puszki~~ Oni dostawali puszki. I taka wytworzyła się nienawiść w stosunku do tych Żydów - głód to jeszcze potęgował - że jak tylko przejechaliśmy Brest na stronę polską, ~~urząd~~ nasi urządzili taki samosąd Żydom, że pani nie ma pojęcia. Koło pociągu leżała przygotowana kostka na bruk, tymi kamieniami walili. Tam się rzuciło po prostu działo. Rzucali Polacy z transportu którym jechałam. Przyszło wojsko, milicja i uspokoili ludzi.

Pierwsze co zrobili to samosąd na tych Żydach, że coś okropnego. Do tego stopnia, że żeby się bronić, to kto miał obrazek Matki Boskiej wieszak na zewnątrz, żeby nie dostało się przy tej okazji drugim. I to o dziwo wszyscy - i kobiety, i mężczyźni i ,, Na 60 wagonów, 10 żydowskich. Było tam dużo dzieci. Żydzi przeważnie całymi rodzinami jechali.

Ta masakra strasznie mną wtedy wstrząsnęła. Bo nasi byli tak napaleni... Swoją drogą Żydzi nas na ten Sybir wywieźli, to jest prawda. Ale w końcu człowiek już jako katolik tak nie może, a tak byli ludzie ~~razem~~ rozwścieczeni.

Żydzi to byli komuniści, którzy sami dobrowolnie do Rosji jechali, nie byli wywożeni. No, może i który był wywieziony, ale wątpię. Oni dobrowolnie jechali. Jak Niemcy przyszli, wiedzieli, że co ich czeka, bali się Niemców. Jako Żydzi i jako komuniści.

Nie wszyscy mieli w Rosji tak bardzo dobrze, ale z reguły Żydzi trzymali się gdzieś blisko miast. Na północ raczej się nie dostali. Trzymali się raczej strony europejskiej, a jak już nie europejskiej, to południowej części, np. Kazachstanu. I zawsze ~~jak~~

SKO-RADZIECKA KOMISJA MIESZANA
DO SPRAW EWAKUACJI

osób narodowości polskiej i żydowskiej
na podstawie Umowy z dnia 6 lipca 1945 r.

ŚWIADCZENIE № E3 26587

Ob. Becelko

Romano

Jan Janczyński

zamieszkały (a) w Wrocławu

ul. Główna 10

Janowski obszar

zamieszkały wraz z członkami swej rodziny

ul. Trębiuszy 193/1 w Warszawie

z 500

złoty (przed) złoty

tytułem: moje osobiste wydatki

Zakaz Zapłacono gotówką Nr. 11/45

stały pobyt do Polski na podstawie Umowy
Sko-Radzieckiej z dnia 6 lipca 1945 r.

Poznań, dn. 20/7 1945 r.

Pełnomocnik Polskiej Delegacji

Jan Janczyński

sto

194 r.



Stacja: Wrocław
Data przybycia: 25.5.46
Liczba porz.: 113
Data wyjazdu: 25.5.46
Miejscowość: Kubin
5 Maja 1946

P. U. R.

PUNKT ETAPOWY W POZNANI

Data przybycia 3.6.46

Liczba porz. 29845

Data wyjazdu 3.6.46

P. U. R. Poznań

Przejazd wykorzystany

VI 16

Przejazd ulgowy wykorzystany

0

Przebieg choroby: ...
Leczenie: ...
Przebieg choroby w czasie podróży: ...
Leczenie w czasie podróży: ...
Przebieg choroby w czasie podróży: ...
Leczenie w czasie podróży: ...

~~Wiesz jeszcze do~~ Pani Olesiak ~~ona~~ była Jolly, jej mąż był ~~sz-~~
chorobym. Mieszkała w Samborze. ~~On~~ Miał dziewczynkę, którą adoptowa-
łal tuż przed samą wojną ~~on~~ ~~nie~~ ~~mieli~~ ~~dzieci~~. Potem jak wrócił-
liśny z Sybiru, ~~to~~ ~~zawsze~~ ~~kiedyś~~ ktoś mi opowiadał, że ~~ona~~ wyszła za
mąż ale ja naprawdę nie dokładnie nie wiem. Ona w ten czas miała
jakieś 28 lat.

Olesiak to był mój wujek, marniś szwagier, on miał na imię Syl-
wester, On był prawnikiem w 6 pułku strzelców podhalańskich, on
dojechał do Granicy i wrócił ~~do~~ do Sambora i długo nie był, bo wrócił
jeszcze we wrześniu a w kwietniu już go aresztowali, rozstrzelanie.
W kwietniu 1940 roku, przed naszą zsyłką. Był w tym więzieniu

ambrosy

Mam zdjęcie z tego kochozu, *jest na nim cała nasza grupa Polekoi,*
i za zdjęcia możemy policzyć 111 nas,

Polekoi było. To wszyscy przyjechaliśmy tam *wkaśnie!* Namy nawet ba-
Miozke "Zestawioy Sybiru 1940 r." *No byz mój wyjek, który drugi raz*
był *zestawioy*, a dwuj to byli *zestawioy* też po raz drugi *zestawioy* i wpedziłi do

~~Polowe~~ *Polowe* Michiński, Chlebek Anna, Chlebek Jerzy, Michińska Aniela,

Michiński Franciszek, Michińska Arystyna, Chlebek Magdalena, Chlebek
Dyrek, Gwiazdowski /imienia nie znam/, Piotrkowski /też imienia nie
pamiętam, Szyk Maria, Szyk Franciszek, Szyk Jan, i teraz nasza rō-
dzina, Wecela Janina, *Becela - Kasprzak Romana, Wecela Ireneusz,*

I tych *Kubna* Kubnow, Maria Witecha, Stanisław *Witek*, Kubna Zenon,

Kubna Olga, z domu *Kixkix* Olecka, Kaweckaja Anna, Kaweckij Eugeniusz
Kaweckij Eugenija, Kaweckij Stanisław, *Nyśny* wszyscy przyjechali jednym

transportem. Na tym zdjęciu jest więcej osób, których nazwisk ~~nie~~
już nie pamiętam, ale te, które pamiętałam to tutaj zapisałam.



Pochin's residence: 8 Prichibynas 05.4.403
 Pochin's family: 201. Mikolaj
 Pochin's: Kalsprowicz Rogowicz
 Pochin's: Przeworski
 + Mikolaj - Michal's: Pochin's
 + Antoni's: Spawinski
 + Michal's: Tomasz
 + Pochin's: Olga 2 of Pochin's
 + Stanislaw's: Spawinski
 + Karol's: Engelmier
 + Karol's: Spawinski

Olszewski family: Olszewski family
 Olszewski family: Pochin's family
 Pochin's family: Pochin's family
 Pochin's family: Pochin's family
 Pochin's family: Pochin's family
 Pochin's family: Pochin's family
 Pochin's family: Pochin's family